POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień | ***Dnia 8-go sierpnia 1942r.*** | **Rok IV. Nr. 32**

RAMIĘ PRZY RAMIENIU

Kilka tygodni temu, niemal niepostrzeżenie, minęła druga rocznica przyjazdu naszego tutaj, do Wielkiej Brytanii. Dwa lata! Ogromny szmat czasu, który przeszedł jakoś szalenie szybko, jakoś bardzo dla większości z nas lekko, jakoś zupełnie pokojowo.

Przyjechaliśmy tutaj przepełnieni goryczą francuskiej klęski, niepewni jutra i tego co nas czeka. Żołnierz nie był już tym samym żołnierzem, jakiego widzieliśmy w Polsce z września. Na duszy jego w sposób fatalny zaciążyły ewakuacje bez boju, palenie akt, likwidowanie sprzętu i wojskowego dobytku, jego przyjazd na wyspy brytyjskie był po trochu lądowaniem rozbitka. Słabsi duchem widzieli już podbój łatwy i prędki kraju, który był naszym ostatnim wytchnieniem, widzieli już drogę do Kanady czy Stanów.

Minęły dwa lata. Nie wiedząc niejednokrotnie o tym, nie zdając sobie z tego sprawy, zadomowiliśmy się na ziemi brytyjskiej, zapuściliśmy korzenie, jedni płyciej, inni głębiej, niektórzy bardzo głęboko. Staliśmy się nieodzowną częścią życia naszych gospodarzy, razem z naszymi wszystkimi wadami i zaletami. Sylwetka polskiego żołnierza przestała odbijać na tle szkockich i angielskich miast, a nawet za rogatywką nie biegnie już tłum dzieci żądnych sensacji. Gazety wprowadziły słowo "Poland" do swego codziennego repertuaru, a melodia hymnu naszego znana jest niemal w każdej szkockiej szkole. Polacy podbili Szkocję . . .

Czy rzeczywiście? Napewno częściowo—tak. Podbili ją faktycznie, ponieważ historia tego kraju nie zapisała drugiego tak wielkiego najazdu cudzoziemców i to cudzoziemców w mundurach. Podbili ją uczuciem, gdyż wielu Szkotów ma dla nas szczery sentyment i prawdziwą przyjaźń. Podbili ją niewątpliwie muzyką polską, którą gospodarze nasi cenią bardzo i lubią, muzyką rozprowadzaną umiejętnie i dokładnie przez nielicznych muzyków polskich przebywających w naszych szeregach. Podbili wreszcie serca Brytyjczyków nasi lotnicy, którzy pracą swą naprawdę ciężką i ofiarną, nie zawsze należycie podkreślaną, dają nam wszystkim do ręki bezcenne akcje, od których tylko tymczasem odcinamy kupony.

Czy jednak rzeczywiście ta Szkocja, jak niektórym się zdaje, jest tak bez reszty przez nas podbita? Czy istotnie możemy być zupełnie spokojni i zadowoleni, czy naprawdę zrobiliśmy wszystko, by tak bardzo pożądaną przyjaźń Wielkiej Brytanii zapewnić Polsce na przyszłość?

Dwa długie lata składały się z przeróżnych faz, wzniesień i upadków naszego ducha, z dziwnych, często nieskojarzonych ze sobą wyskoków, objawiających się zarówno w wylewnej przyjaźni, jak i nagłej niechęci w stosunku do naszych gospodarzy. Byliśmy bardzo nierówni, tak jak nierówną jest nasza polska natura i jak nierówne—były losy wojny. Potem przychodziliśmy do formy, ale zawsze zostawał pewien osad—i u nas i u nich. Patrzyliśmy wtedy wzajemnie na siebie trochę podejrzliwie i trzeba było czasu, by zagoił blizny. Ten czas przeważnie okazywał się dobrym i zapobiegliwym lekarzem.

Nie trzeba jednak nadużywać jego usług i zbyt pewnie na niego liczyć. Są rany, które mogą łatwo nie tylko nie zagoić się, lecz nawet wywołać ogólne zakażenie, musimy się z tym liczyć. I pamiętać, że pracujemy dla innych, że ocena powojennych stosunków polsko-brytyjskich, będzie oceną nas samych i naszej pracy włożonej we wspólny interes: Polski w Wielkiej Brytanii, stosunków, od których zależeć może bardzo wiele, przede wszystkim zaś—dobrobyt i odkarmienie tych, którzy są w domu.

Faza dzisiejszych stosunków naszych z Brytyjczykami wykazuje dążność jakby zniżkową—z naszej strony, podkreślam: *z naszej*. Faza ta, jak zawsze poprzednio, tak i teraz jest wypadkową zjawisk wojennych i jest ich następstwem. Przechodziły szeregi nasze już takie same zachwiania wiary podczas kampanii greckiej, Krety, a ostatnio podczas walk w Burmie i zwycięstw japońskich. Przeszły znowu niedawno.

Na skutek porażki brytyjskiej w Libii i walk toczonych w Egipcie plotka /—czy zastanawiamy się nad tym: przez kogo suflowana?/ mówi o nieprzygotowaniu brytyjskim do jakiejkolwiek walki z Niemcami na lądzie, szepcze na ucho i pod wielkim sekretem o niezwykłych zdolnościach Rommla, roztacza przed oczami chętnego słuchacza wspaniałą strategię obronno zaczepną, dając mu do zrozumienia, że gdyby on, a nie tamci, był dowódcą, pokazałby jak się walczy i jak się zwycięża.

Plotka rozrasta się, powtarzana jest przez setki ust, słuchana przez dziesiątki chętnych, przeważnie nie mających w danej chwili nic do roboty, wije się rozkosznie w stosach papierów kancelarii, biur i instytucji, znajduje najchętniejszych słuchaczy i zwolenników wśród ludzi, co do których wiadomo z matematyczną dokładnością, że nigdy nie walczyli i nie będą walczyć inaczej jak przy zielonym stoliku. Plotka triumfuje ponieważ jest łatwa, ponętna i nikt jej się nie sprzeciwia. Sięga mackami ku wszystkim tym, którym nie jest dobrze, którzy pragną pociechy i podatni są na zwątpienie i załamanie. Poprzez oficera, powtarzającego bezmyślnie posłyszane, czy może nawet odczute, słowa krytyki i wskazówki naprawy, dochodzi do szeregowca i podważa jego ducha, ustabilizowanego dzięki dwuletniemu życiu na ziemi brytyjskiej, nie tylko w dobrych warunkach osobistych, lecz także przy boku sprzętu wojennego, o jakim marzą miliony Polaków rozrzuconych po świecie. Robi robotę złą, destrukcyjną, zamiast naprawiać—psuje.

Jej echa odbijają się w życiu codziennym, w obcowaniu z naszymi gospodarzami. Nudzi nam się nagle, czy może nie nagle, ich stereotypowa "*cup of tea*," nasze sądy o całości narodu opieramy na kilku małomiasteczkowych babinach, które jakkolwiek poczciwe i dobre, będą przy całej swej kulturze materialnej, zawsze na poziomie naszej kobieciny z Wielunia, czy Stoczka Węgrowskiego, denerwujemy się powolnością subiektów sklepowych, tak jakbyśmy to dopiero teraz zauważyli i nie wiedząc wcale o tym, nie zdając sobie sprawy, psujemy to wszystko, cośmy poprzednio zbudowali. Podstawy naszych powojennych z niemi stosunków. Naszych to znaczy—polskich.

W chwili, gdy piszę te słowa sytuacja na froncie egipskim jest groźna. Jej odgłosy będą do nas dochodzić jeszcze długo w formie nie tylko komunikatów, lecz także artykułów pism, debat parlamentarnych i wielu rzeczowych i nierzeczowych krytyk. Będziemy ją jeszcze niejednokrotnie wałkować w naszych dyskusjach i niejedno mocne słowo padnie pod adresem jej sprawców. Lecz cokolwiek by się stało, jakkolwiek Anglicy by rozegrali tę bitwę, ten fragment wielkiej całości, musimy pamiętać o jednym—nie wolno nam iść na lep widocznej propagandy wroga, nie wolno nam rzucać pod nogi naszych gospodarzy i opiekunów, bo niewątpliwie są oni dzisiaj naszymi opiekunami, kamieni, zamiast ułatwiać im przejście chwil ciężkich i groźnych zarówno dla nich samych, jak w daleko większym jeszcze stopniu—dla nas.

Krytyka jest wtedy tylko instytucją społecznie potrzebną, gdy z niej zrodzić się może coś nowego, lepszego, aniżeli to co było poprzednio. Zdajemy sobie chyba jasno sprawę z tego, że my, siedząc tutaj, jak u Pana Boga za piecem i krytykując ludzi, którzy, bez względu na to z jakim rezultatem, bo to jest w tym wypadku nieważne krwawią się dzisiaj w obronie własnej ziemi, nie robimy dobrej roboty, nie uzyskujemy nic, natomiast tracimy bardzo wiele. Tracimy własny optymizm i pogodę ducha, tracimy sympatię naszych gospodarzy, którym niestety zbyt często i niezbyt delikatnie umiemy powiedzieć co w danym momencie myślimy, a poza tym wszystkim dajemy w ręce propagandy niemieckiej znakomity atut niezgody pomiędzy sprzymierzeńcami.

Ostatnie lata niepodległości Polski były świadkami jakiegoś snobizmu angielskiego, ujawniającego się przede wszystkim w tym, że wszystko co angielskie uważało się za idealne. Mało kto potrafił wytłumaczyć dlaczego, po prostu stworzono legendę. Dziś niektórzy z nas, na szczęście nieliczni wpadają pod wpływem wypadków wojennych w drugą, także nieuzasadnioną, krańcowość. O ile tamta była śmieszna i nieszkodliwa, o tyle ta w naszej sytuacji jest poważna i bardzo szkodliwa.

Przypomnijmy sobie, jak oni zachowywali się, wtedy, kiedy myśmy byli pobici! Przypomnijmy sobie, że rząd Jego Królewskiej Mości wymusił na Francji wypowiedzenie wojny Niemcom podczas naszego września. Przypomnijmy sobie, jak oni nas tutaj przyjęli dwa lata temu, gdy byliśmy bez ojczyzny, bez broni i bez pieniędzy! Pamiętajmy o tym, jak dzisiaj angielskie funty pracują dla naszych bliskich w Rosji!

Z klęski poniesionej w Dunkierce, Singapore i Libii wyciągnijmy wnioski na przyszłość, lecz dla nas, dla Polski. Po powrocie doświadczenia wojenne będą wykorzystywane i na nich następne pokolenia żołnierzy będą się uczyć. Dziś, gdy tutaj na obcej ziemi jesteśmy, nie mogąc nic pomóc, a nie czując się powołani do krytyki, przyjmujmy wiadomości dobre radośnie, a złe poważnie, tak jak przyjmuje się wieść o nieszczęściu w domu przyjaciela. Niechaj nie opuszcza nas pogoda ducha, ponieważ nią jedynie możemy dzisiaj okazać pomoc naszym gospodarzom i naszym przyszłym towarzyszom broni.

Pamiętajmy o tym. Przecież z nimi będziemy wywalczać powrót, z nimi zapewne wrócimy! Ramię przy ramieniu!

ZYGMUNT NAGÓRSKI, jr.

Król Haakon dekoruje żołnierzy Brygady Podhalańskiej



Prezydent R.P., Król Haakon i Generał Sikorski

Dzień 3 sierpnia święcony był od wielu lat przez naród norweski jako dzień urodzin Króla Haakona VII, władcy, który w ciągu swego panowania stał się symbolem nowoczesnej Norwegii—kraju wytężonej pracy i twórczej swobody obywatelskiej.

W okresie wojny obecnej dzień 3 sierpnia ma dla narodu norweskiego szczególne znaczenie. W dniu tym bowiem społeczeństwo cierpiące pod jarzmem niemieckiego najeźdźcy kieruje swe myśli ku Królowi, który z Londynu przewodzi wysiłkom zbrojnym i politycznym, zdążającym do odbudowy niepodległości ojczyzny. Król Haakon stał się nie tylko uosobieniem majestatu nieśmiertelnego narodu norweskiego, ale i najwyższym strażnikiem jego honoru.

Tak patrzą na niego Norwegowie, tak patrzy nań dwadzieścia sześć narodów sprzymierzonych.

* * *

Węzły przyjaźni polsko-norweskiej zacieśniły się w ciągu tej wojny w sposób na pewno nie oczekiwany przez obydwa narody, które do niedawna mało się właściwie znały. Któż bowiem mógł przypuszczać, że w pierwszych zaraz dniach walk o Norwegię, stanie na jej ziemi żołnierz polski, wyparty chwilowo z ziemi ojczystej, który we Francji na wezwanie Naczelnego Wodza pośpieszył ponownie pod sztandary? A jednak tak się stało. Bronzowe berety i peleryny Brygady Podhalańskiej pozostaną na zawsze w historii Wojska Polskiego i przetrwają w pamięci ludności norweskiej, która widziała żołnierzy polskich walczących na śmierć i życie na wzgórzach Ankenes i pod Narwikiem.

W dniu 27 lipca 1942 w salach Poselstwa Norweskiego w Londynie odżyły te wspomnienia i refleksje. W tym dniu Król Haakon dekorował w obecności generała Sikorskiego oficerów i szeregowych Brygady Podhalańskiej za ich czyny wojenne na ziemi norweskiej.

Wśród pięciu "Podhalan" przybyłych na uroczystość ściągał szczególną uwagę niewidomy kapral Ł. Stracił wzrok w walkach w Norwegii. Na piersi jego błyszczy Krzyż Virtuti Militari, podobnie zresztą jak na piersiach wszystkich innych "Podhalan", którzy przybyli do Poselstwa Norweskiego, by z rąk Króla Haakona otrzymać norweski Krzyż Wojenny.

Koledzy kaprala Ł. opowiadają jego historię. Gdy po kampanii norweskiej generał Sikorski dekorował go orderem Virtuti Militari zapytał go, czy ma jakieś życzenia. Niewidomy kapral odpowiedział: "Proszę, by mnie pozostawiono nadal w oddziale". Woli jego stało się zadość. Bohater walk w Norwegii nie opuścił swojej drużyny i swego plutonu. Mieszka z kolegami. Razem z nimi staje na zbiórki, a gdy koledzy wychodzą na ćwiczenia czy na odcinek, zostaje w rejonie zakwaterowania, napierając się wprost, by pozwolono mu spełniać różne czynności gospodarcze. Od czasu do czasu wyjeżdża tylko z oddziału na jakiś kurs dla niewidomych, gdzie uczą go czytać i pracować fizycznie przy pomocy specjalnych metod, którymi nauka stara się złagodzić dolę ludzi pozbawionych wzroku.

Przeglądamy krótkie notatki służbowe, mówiące o czynach odznaczonych:

"*Starszy strzelec Dz. K.*— mówi notatka —*unieszkodliwił dwa karabiny maszynowe wroga. Strzelał do nich z garłacza, celując wzdłuż lufy. Taki pomysł powstać mógł tylko w głowie* 16-*letniego chłopca . . . Był ranny w obie nogi, stracił prawą stopę*".

Grzebiemy w pamięci i nagle—przypominamy sobie! Tak jest—to on. Widzieliśmy go przed paru miesiącami w Kanadzie, pełniącego nadal służbę pomimo protezy. Zainteresowała się nim Polonia Amerykańska i ofiarowała mu wysokie stypendium, które ma mu umożliwić ukończenie studiów w Ameryce.

Ale czytajmy dalej:

"*Kapral K.K. jako ochotnik poszedł na wypad celem zniszczenia c.k.m. nieprzyjaciela. Z bardzo bliskiej odległości został ranny. Mimo to zadanie wykonał. Stracił rękę.*"

Tacy to byli żołnierze polskiej Brygady Podhalańskiej, którzy w kwietniowe dni 1940 roku opuścili obozy Bretanii i pojechali bronić wolności na dalekiej północy. A choć nie minęła jeszcze ciemna noc, czujemy wszyscy, że oto wschodzi już zorza tej wolności: nad Polską i nad Norwegią.

LUDWIK TYŚMIENICKI

Święto Poznańskiego Dywizjonu Myśliwskiego

Pięknymi, schludnymi i ukwieconymi uliczkami londyńskiego przedmieścia udajemy się na lotnisko, na którym odbyć się ma za chwilę dekoracja lotników z Poznańskiego Dywizjonu Myśliwskiego. Dekoracja ta pomyślana jest, jako punkt szczytowy uroczystości, związanych ze świętem tego Dywizjonu. Wiadomo, że na święto przybędzie Naczelny Wódz, że obecny będzie marszałek brytyjskiego lotnictwa i że należy się spodziewać przybycia licznego grona najmilszych kolegów, a mianowicie lotników, którzy dawniej należeli do Dywizjonu, a obecnie rozsiani są po innych formacjach i lotniskach Anglii.

Ulica, przylegająca bezpośrednio do lotniska, zamieszkała jest prawie wyłącznie przez naszych lotników. Poszczególne domki mają swoje nazwy. Nad bramą jednego z nich widnieje napis "Aby do piątku." *Słowa te dziwnie uderzają na tle londyńskiej ulicy. W ogródkach widzi się ułożone z kamyków orły polskie i emblematy lotnicze. Zupełnie jak gdzieś na lotnisku pod Poznaniem, czy Grudziądzem . . .*

Zbiórka wyznaczona jest na godzinę 9-tą. Narazie lotnicy stoją grupkami i rozmawiają ze sobą. O czym? Przeważnie o ostatnim nalocie na okupowaną Francję. Na dwa dni przed świętem /które odbyło się dnia 28 lipca/, Dywizjon myśliwski, noszący nazwę Dywizjonu Poznańskiego, wziął udział w akcji bojowej polskiego "Skrzydła," w czasie której lotnicy polscy strącili 5 samolotów nieprzyjacielskich. Dwa z pośród tych strąconych samolotów należy zapisać właśnie na rachunek Dywizjonu Poznańskiego.

Lotnicy Dywizjonu twierdzą jednak, że dwa dalsze samoloty, których oficjalna statystyka nie uwzględnia, zostały również zniszczone. Wymienia się nazwiska bohaterów dnia i pokazuje się ich przybyłym gościom.

Za chwilę, na dany rozkaz, grupki przerywają rozmowy, żołnierze stają w dwuszeregu. Słychać słowa komendy, dobrze znane z tylu koszarowych dziedzińców i stanowiące prozę codziennego naszego życia. Patrząc na wyprężone sylwetki żołnierzy Dywizjonu, trudno pomyśleć bez wzruszenia o tym, że tak niedawno oczekiwali oni nie na uroczystość, ale na pojawienie się w przestworzach groźnego wroga . . .

Czas mija prędko. Oto już zjawił się na lotnisku Naczelny Wódz w otoczeniu brytyjskich i polskich dostojników—już odebrał raport od Dowódcy Dywizjonu /który właśnie strącił jeden z owych samolotów nad Francją/ i już cały Dywizjon rusza kolumną czwórkową do hangaru przemienionego na kaplicę.

Po Mszy świętej i kazaniu—dekoracja. Występują z szeregów i ustawiają się obok siebie wszyscy, których pierś ozdobi za chwilę order Virtuti Militari i Krzyż Walecznych za czyny bojowe. Obok bohaterów walk powietrznych stają cisi, bezimienni ich pomocnicy: personel ziemny. Kilku mechaników otrzyma bowiem za chwilę również odznaczenia za swą ofiarną pracę: Srebrne i Bronzowe Krzyże Zasługi.

Wśród odznaczonych zwraca uwagę smukła sylwetka "asa" polskiego lotnictwa, który swego czasu dowodził słynnym dywizjonem 303, który strącił w czasie "Battle of Britain" kilkanaście maszyn niemieckich i otrzymał za to czterokrotny Krzyż Walecznych. Tak się jednak złożyło, że zajęcia służbowe, które skierowały go poza Wielką Brytanię, nie pozwoliły na wcześniejszą dekorację dzielnego oficera. Dopiero teraz, z okazji odznaczenia lotników dywizjonu poznańskiego, Naczelny Wódz zawiesi mu na piersi Krzyż o tylu okuciach. Właśnie na parę minut przed ustawieniem się do dekoracji przyzwał go do siebie i rozmawiał z nim szczególnie serdecznie.



Generał Sikorski dekoruje lotników Poznańskiego Dywizjonu Myśliwskiego

Wśród ciszy, przerywanej tylko od czasu do czasu warkotem samolotów krążących nad lotniskiem, przemawia generał Sikorski do lotników. Mówi o historycznej roli żołnierza polskiego, który uratował już honor Ojczyzny, a uratuje napewno Jej wolność i wielkość. Przypomina, że gdy przybyliśmy do Wielkiej Brytanii, byliśmy jakgdyby ubogimi krewnymi. Dziś sytuacja zmieniła się na naszą korzyść dzięki męstwu i poświęceniu polskiego lotnika, marynarza, dzięki bohaterskiej postawie wszystkich żołnierzy polskich! Naczelny Wódz kreśli pokrótce dzieje Dywizjonu. Przypomina jego zasługi bojowe i kończy słowami mocnej, niezłomnej wiary w zwycięstwo.

A potem—defilada, śniadanie żołnierskie, w czasie którego wygłoszono tylko jedno krótkie przemówienie—toast na cześć Naczelnego Wodza—i uroczystość oficjalna została już zakończona. Pozostali jednak na lotnisku goście z różnych stron i rozpoczęła się serdeczna pogwarka towarzyszów broni. Pogwarka w dniu święta; między jednym dniem pracy a drugim, między jedną nocą walki a następną . . .

Triumfująca chwilowo przemoc niemiecka ciemięży Poznań. Z ulic starej stolicy usunęła polskie nazwy i polskie pomniki, z gmachów zdarła polskie orły. Ale tu pod Londynem lotnicy Dywizjonu myśliwskiego Poznań walczą o drogę triumfalnego powrotu: do polskiego Poznania, polskiego od wieków i na wieki.

EL

Nowości lotnicze

O przewadze w powietrzu rozstrzyga myślistwo. Myślistwo może zdobyć przewagę nie tylko liczbą, lecz także wyższością techniczną. To właśnie miał na myśli brytyjski minister produkcji lotniczej przemawiając ostatnio w Izbie Gmin w tym mniej więcej sensie: "w powietrzu decyduje o przewadze rozwój techniczny i on jest dominującym czynnikiem zwycięstwa."

Prawda to znana oddawna. Znają ją doskonale Niemcy i w tej chwili wiedząc, że o przewagę liczebną "Luftwaffe" będzie w przyszłości coraz to trudniej, usiłują w miejce przewagi liczebnej uzyskać przewagę techniczną. W konsekwencji jesteśmy świadkami wyścigu między Niemcami a Wielką Brytanią na tym polu, przy czym walka o wyższość techniczną skupia się na rozwoju lotnictwa myśliwskiego, jako broni decydującej.

Wyścig ten jest powtórzeniem podobnego, wyścigu, który miał miejsce podczas czterech lat ubiegłej wojny światowej. Rozwój lotnictwa postępował olbrzymimi krokami i stawało się coraz bardziej jasne, że przybierze takie rozmiary iż walki w powietrzu będą rozstrzygały o walkach na ziemi i na morzu, zwycięstwo nad chmurami o zwycięstwie w ogóle. Konstruktorzy obu stron walczących wzięli się do pracy w tempie iście kinematograficznym. Rok 1917 prawie co miesiąc oglądał nowe typy w powietrzu. Każda nowa maszyna przynosiła nowe niespodzianki. Gdy taki nieznany kształt pojawiał się na horyzoncie, wszystkie maszyny swoje czy obce uciekały w popłochu.

W ten sposób na froncie włoskim odniósł bez własnej woli i winy zwycięstwo jeden z pilotów austriackich. Do parku lotniczego gdzie pracował jako oblatywacz przysłano do wypróbowania nowy typ Lloyda t.zw. popularnie "Fornier Lloyd" /miał skrzydła kryte nie płótnem, jak to wówczas powszechnie czyniono, lecz dyktą/. Pilot, n.b. nie najlepszy, wzbił się w niebiosa w strachu Bożym. Oblatywanie ówczesnych maszyn nie było bowiem ani miłe, ani bezpieczne. Wreszcie osiągnął nakazane trzy tysiące metrów, machnął trzy loopingi, spiralą zeszedł do ziemi i wylądował. Zdumiał się bardzo, gdy go na ziemi obskoczono gratulując mu zestrzelenia maszyny włoskiej. Gratulacje przyjął, nie protestował, nic jednak nie rozumiał. A rzecz się miała tak: właśnie kiedy gramolił się na wysokość, nadleciały trzy "Caproni." Były niżej od Fornier Lloyda. Czołowy trójki zobaczył nad sobą sylwetkę, którą rozpoznał jako "Fornier Lloyd." O tej maszynie, głuche a straszliwe wieści chodziły już szeroko między pilotami włoskimi. Tedy tak serdecznie dodał gazu i tak przypikował, że mu odleciały skrzydła. Rozsypał się w powietrzu. Dwa inne "Caproni" rozpierzchły się po chmurkach. Tymczasem nasz oblatywacz kręcił swoje spirale, marząc o tej pięknej chwili, kiedy dotknie kółkami ziemi, wydawało mu się bowiem, że lewe skrzydło drga niebezpiecznie. Zwycięstwo nieświadome policzono, nazwisko pilota ukazało się w komunikacie. Naibardziej dziwili się owemu zwycięstwu zbrojmistrze badając karabiny maszynowe Lloyda. Albowiem lufy karabinów były bez śladu sadzy, brakowało wprawdzie pięciu nabojów w taśmie, lecz łusek, tak cennych łusek miedzianych, w żaden sposób w kollektorze nie można było się doszukać . . .

Ale należy wrócić do tematu. Wyścig obecny rozpoczęli Niemcy licząc z góry na swą przewagę liczebną. Wiedzieli bowiem, że lotnictwo Wielkiej Brytanii choć rozporządzało typami technicznie wyżej stojącymi nad "Messerschmidtem" /"Hurricane," "Spitfire"/ to jednak liczebnie było w stanie przeciwstawić się chmarom myśliwców "Luftwaffe." Choć przy technicznej przewadze nie potrzeba być w większości liczebnej, lub stać na równi z przeciwnikiem to jednak stosunek liczebny mniejszości ma swe zdrowe i rozsądne granice: I tak choć eskadra "Hurricanów" nie potrzebuje bać się trzech, czy czterech eskadr "Messerchmidtów 109" /jak to wykazał rok 1940/, to jednak będzie pokonana przez dziesięć eskadr "M-ów" nawet gdyby w cockpitach "Hurricanów" siedzieli nie ludzie, lecz anioły pilotażu.

Jak w tej chwili stoi sprawa wyścigu technicznego? Korespondent "Sunday Timesa," Peter Masefield, na którego tak przenikliwe w ocenie sytuacji powietrznej artykuły nieraz powoływaliśmy się na tym miejscu, określa obecną sytuację jako raczej korzystną dla Niemców. Swoje twierdzenie opiera na następującym rozważaniu. Sercem samolotu jest jego motor. Niemcy rozporządzają w masowej produkcji lepszym motorem dla swych myśliwców, niż Brytyjczycy. W następstwie niemieckie lotnictwo posiada parę tysięcy stóp przewagi nad brytyjskim lotnictwem myśliwskim. Daje to szczególnie w starciach masowych pewną przewagę w ręce Luftwaffe.

Rzeczywiście motory myśliwców niemieckich zarówno BMW 801 o sile 1580 H.P. czy BMW 802 o wydajności 2000 H.P., wykazują zadziwiająco dobre właściwości. Brytyjczycy mają wprawdzie w użyciu silniejsze motory, jednak żaden ze stosowanych w tej chwili w swej klasie i we wszystkich szczegółach nie daje równie dobrych wyników, jak owe oba BMW.

Minister produkcji lotniczej we wspomnianej mowie powiedział również co następuje: "Istnieją dwa nowe typy samolotów niemieckich, o ich zaletach wiemy niejedno. Mogę jednak stwierdzić z całą stanowczością, że nowe typy brytyjskie przewyższają niemieckie zarówno pod względem uzbrojenia, jak i innych zalet technicznych."

Minister mówiąc o "dwóch nowych typach samolotów niemieckich" miał zapewne na myśli "Focke-Wulf FW 190" oraz "Messerschmidta 109 F4." Mówiąc zaś o lepszym samolocie brytyjskim wspomniał o samolocie "Typhoon," który według gadek przewyższa o jakieś dobre 30 m/g FW 190, najszybszego z dotychczas znanych typów myśliwskich.

Musimy wysunąć tutaj przysłowiowe "ale." Otóż to "ale" leży w czasie, w jakim "Typhoon" czy inna maszyna bojowa produkcji brytyjskiej wyprodukowana seryjnie wejdzie do akcji i zacznie grać na szali wyścigu. Tutaj dodać należy, że czas między prototypem a produkcją seryjną dotychczas bywał krótszy u Niemców, co wynika choćby z przykładu FW 190, który jest produktem 1939, gdy "Typhoon" jest produktem 1937. W tym samym mniej więcej stosunku stoją do siebie projekty i produkcja niemieckich i brytyjskich motorów samolotowych.

Sprawa ta nabiera natomiast innego kolorytu, skoro weźmiemy pod uwagę fakt, że zawsze model brytyjski po długich a wszechstronnych próbach przez czas dłuższy zapewnia producentowi przewagę, jak to n.p. miało miejsce z "Hurricanami" i 'Spitfire'ami," produktami przecież starszymi od "Messerschmidta" 109, czy 110.

Zagadnienie lotnictwa myśliwskiego, jak dotychczas, spoczywa całkowicie w rękach Brytyjczyków i jest zagadnieniem produkcji brytyjskiej. Jest rzeczą pewną, że Amerykanie produkując cały szereg doskonałych typów lekkich czy ciężkich bombowców, nie zdołali wyprodukować myśliwca, któryby w danej chwili mógł stawić czoło wymogom stawianym przez współczesną wojnę powietrzną. Wyjątkiem może być zapowiadany "Thunderboldt," którego właściwości prawie nie znamy, gdyż "Mustang," maszyna o rzeczywiście niezwykle silnym uzbrojeniu i szybkości raczej nadaje się do pracy na niższych pułapach, bowiem jej pułap jest bardzo dystansowany przez pułap "Focke Wulfa" czy nowego "Messerschmidta."

Wymogiem chwili jest obecnie konieczność prędkiej odpowiedzi Niemcom na ich maszyny myśliwskie o wysokim pułapie. Niewątpliwie czas najbliższy będzie świadkiem tej odpowiedzi. Należy się jednak zgodzić z twierdzeniem Peter Masefielda, że powołani do tego będą raczej inżynierzy silnikowcy, niż inżynierzy konstruktorzy samolotowi.

ADAM STERBAŁŁA

Z tygodnia na tydzień

W nocy z 26/27 lipca br.: polskie dywizjony bombowe brały udział w silnym nalocie na Hamburg. Jedna załoga polska nie powróciła.

27 lipca: król Norwegii Haakon udekorował Krzyżem Wojennym, w obecności Naczelnego Wodza gen. Sikorskiego, dwunastu żołnierzy z Brygady Podhalańskiej za wybitne czyny bojowe w czasie kampanii norweskiej.

—Prezydent R.P. odbył dłuższą rozmowę z Naczelnym Wodzem gen. Sikorskim.

28 lipca: Kierownictwo Marynarki Wojennej ogłosiło, że w jednym z konwojów do Rosji odznaczył się wybitnie jeden z Okrętów R.P.

—Pierwszy Lord Morski Sir Dudley Pound w imieniu J.K. Mości Jerzego VI-go udekorował bojowymi odznaczeniami brytyjskimi jedenastu oficerów, podoficerów i marynarzy Polskiej Marynarki Wojennej.

—Poznański Dywizjon Myśliwski obchodził swe święto, w czasie którego Naczelny Wódz dokonał dekoracji lotników i mechaników.

29 lipca: Generał Sikorski przemawiał przez radio do obywateli i żołnierzy polskich w Rosji z okazji rocznicy układu polsko-sowieckiego. "Układ ten—powiedział m.in. gen. Sikorski—miał zapoczątkować zgodnie z naszą wolą, nową erę między Polską a Rosją. Jego treścią było wyrównanie nieporozumień przeszłości. U jego podstaw znajduje się uznanie zasady, iż silna Polska jest koniecznością dla stałej równowagi w Europie."

—Myśliwcy polscy przeprowadzili "wymiatanie" nad północną Francją, m.in. zaatakowany został z lotu koszącego pociąg, przyczem uszkodzono parowóz. Jeden samolot nie powrócił.

W nocy z 29/30 lipca: polskie dywizjony bombowe brały udział w silnym nalocie na Saarbrücken. Wszystkie załogi powróciły do baz.

31 lipca: polskie dywizjony myśliwskie dokonały wypadu w okolice Cherbourga.

W nocy z 31 lipca na 1 sierpnia: polskie dywizjony bombowe wzięły udział w silnym nalocie na Düsseldorf. Wszystkie załogi powróciły do baz.

Proroctwa i przewidywania

Pamiętamy wszyscy, jak wielu naszych rodaków już w Budapeszcie lub Bukareszcie, w kilka, kilkanaście dni po katastrofie wrześniowej mówiło z miną znaczącą: "a mówiłem—a przewidywałem." W rzeczywistości bodaj na palcach zliczyć by się dało w Polsce tych, co nie dając się otumanić haszyszem urzędowej propagandy, zdawali sobie sprawę z tragicznego wyniku wojny z Niemcami. Jeszcze mniej było takich, którzy swoje obawy i przypuszczenia wyrażali na piśmie.

W numerze 1-ym "Wiadomości Polskich," wydanym w Paryżu w listopadzie roku 1940, znalazłem artykuł na temat przyszłej kampanii w Polsce. Pierwotnie był on wydrukowany w "Zaczynie" dnia 3 sierpnia 1939 i tylko chyba cudem uszedł uwagi przedwojennego cenzora . . . Artykuł ten podznaczony pseudonimem Triarus, napisany był według informacji przez pewnego rotmistrza kawalerii polskiej, o którym jeden z ówczesnych wyższych dowódców kawalerii wyrażał się bardzo lekceważąco. Czy słusznie, zobaczymy.

Pozwolę sobie przytoczyć niektóre ustępy tego artykułu, mającego charakter jakiejś proroczej wizji, a jednocześnie, aby dać im odpowiednie tło i oprawę, przytoczę przedtem ugruntowane głęboką wiedzą fachową opinie i przewidywania niemieckich autorytetów wojskowych na ten sam temat.

Te dwie niezmiernie źródłowe opinie, to dzieło jednego z najwybitniejszych niemieckich pisarzy wojskowo - politycznych, ukrywającego się pod pseudonimem Maxa Wernera, noszące tytuł "*The military strength of the powers*" /Wojskowy potencjał mocarstw/, napisane w końcu 1938 r. oraz poufny odczyt szefa sztabu Reichswehry, generała Haldera pod tytułem "*Taktische und strategische Erwägungen zum kommenden Krieg gegen Polen*" /Rozważania strategiczne i taktyczne na temat nadchodzącej wojny z Polską/.

Jeśli idzie o książkę Maxa Wernera, wydaną przed wojną, a więc dostępną dla wszystkich, to z całą pewnością nie była ona znana autorowi artykułu drukowanego w "Zaczynie," jak zapewne też nie była znana w polskim Sztabie Głównym. Można przypuszczać, że gdyby nawet ktokolwiek bądź przypadkowo ją przeczytał, to i tak zapewne mówiono by o niej z lekceważeniem i pogardą. Zresztą i na książkę polskiego autora generała Sikorskiego "*La Guerre moderne*" /Wojna nowoczesna/, zresztą nawet niewydanej w języku polskim, w której autor jeszcze w 1935 roku operował pojęciami mas pancerno-motorowych—machano w Polsce też z lekceważeniem ręką . . .

Zacznijmy od rzeczy najstarszej, od wspomnianej książki Maxa Wernera. Otóż w rozdziale pod tytułem "Polska pomiędzy dwoma obozami," opartym na literaturze niemieckiej, sowieckiej, francuskiej, czeskiej a wreszcie i polskiej /autor cytuje książki i artykuły marszałka Piłsudskiego, generałów Sikorskiego, Romera, płk-ów Pragłowskiego i Mossora/ Werner zestawia wartość bojową polskiej siły zbrojnej z siłą niemiecką i sowiecką oraz zastanawia się nad szansami konfliktu zbrojnego. Mówiąc o wojsku polskim autor przytacza opinię niemieckiego generała v. Metzscha, który je określa jako wojsko "typu wschodnio-europejskiego, złożone z milionów powierzchownie wyszkolonych ludzi, których wyposażenie techniczne jest znacznie poniżej poziomu mocarstw zachodnio-europejskich"; "wojsko polskie—zdaniem autora—nie brało udziału w rewolucyjnym rozwoju techniki wojennej ostatniego dziesięciolecia, a jego budowa jest raczej na poziomie armii europejskich z roku 1930."

"Cechę armii wschodnio-europejskich stanowi to, że posiadają one b. mały potencjał wojenny oraz opierają się na mało rozwiniętym przemyśle wojennym." W tym miejscu Werner, którego napewno nie można posądzić, że pobierał jakąś poufną subwencję za propogandę nazwiska Sikorskiego, pisze, że "generał Sikorski, największy autorytet wojskowy w Polsce stale podkreślał ujemny wpływ słabości przemysłu wojennego na zbrojenia."

Ten sam autor, omawiając w rozdziałach poświęconych armii sowieckiej "czystkę" po procesie Tuchaczewskiego, twierdzi, że "straty w korpusie oficerskim tej armii zarówno liczebnie, jak i proporcjonalnie nie były tak duże, jak straty armii polskiej po dojściu do władzy Piłsudskiego, kiedy 4,000 oficerów zostało ze względów politycznych dymisjonowanych." Następnie, cytując propolski organ francuski "*Le Document*" poświęcony armiom europejskim /Weygand napisał do niego przedmowę/, Max Werner pisze "Polskie uzbrojenie jest niewystarczające. W razie mobilizacji rezerwy jego będą jeszcze słabsze. Przemysł polski ma ograniczone możliwości. Polscy dowódcy zbyt polegają na czynniku manewru, nie zwracając należytej uwagi na siłę ognia. Dotyczy to szczególnie polskiej kawalerii, wciąż jeszcze olśnionej sławną tradycją, która i teraz oczekuje dawnych szarż i rąbanin."

Podkreśla on dalej jako największą słabość armii polskiej brak nowoczesnego uzbrojenia, szczególnie rażący przy porównaniu z armią sowiecką i niemiecką. Cytując następnie "*Deutsche Wehr*" stwierdza "cofnięcie się armii polskiej w porównaniu z armiami jej sąsiadów." W ustępie o lotnictwie polskim wyraża zdanie, że "panowanie w powietrzu będzie z miejsca należeć do strony przeciwnej."

Przechodząc do omówienia strategii polskiej, Werner pisze, że "wprawdzie idee i poglądy są pełne inicjatywy, ale nie mają żadnej podstawy materialnej." Strategia polska polega na manewrze wykonanym z szybkością piechura lub konia, wobec potężnych przeciwników na Wschodzie lub Zachodzie. Tego rodzaju strategia jest niczym innym, jak bezsilnym manewrem akademickim, prowadzącym do katastrofy." "Strategia polska patrzy na nowoczesną technikę wojenną z pogardą. Była ona do zastosowania przeciwko słabej armii czerwonej w r. 1920 i byłaby możliwą przeciwko niemieckiej Reichswehrze do roku 1930, ale przeciwko obecnym armiom niemieckiej i sowieckiej jest szczytem szaleństwa . . ."

Omawiając ewentualną niemiecko-polską współpracę wojskową przeciwko Rosji Sowieckiej, Max Werner po dłuższych rozważaniach dochodzi do wniosku, że ta współpraca oznaczałaby dla Polski utratę suwerenności i zamieniłaby jednocześnie armię polską pod dowództwem niemieckim na *Kanonenfutter*. Jedno i drugie nie wpłynęłoby ostatecznie na wynik wojny, gdyż armia sowiecka jest, zdaniem autora, silniejsza, aniżeli połączone siły polsko-niemieckie. W obliczu obecnej sytuacji na froncie sowieckim i nieuniknionej porażki wojsk koalicji niemieckiej, kto wie czy i w danym wypadku poglądy Wernera nie są nie pozbawione słuszności.

Przechodząc do omówienia doświadczeń wojny polsko-bolszewickiej 1919-1920, i przytaczając książki "Rok 1920" Piłsudskiego oraz "*La campagne polono-russe*" Sikorskiego, Werner twierdzi, że "żadne podobieństwa w obecnej chwili nie zachodzą wskutek całkowitej przemiany armii sowieckiej. Obecnie Polska byłaby nawet niezdolna do skutecznej obrony przeciwko czerwonej armii, a idea polskiej ofensywy jest w ogóle niedorzecznością."

Wreszcie w ostatnim ustępie, Werner utrzymuje, że "Polska ma decydującą pozycję strategiczną, ale jedynie w ramach koalicji przeciwko Niemcom. Ta pozycja może być jednakże w pełni wykorzystana w razie przymierza Polski z Rosją Sowiecką" . . . "Byłoby absurdem myśleć, że w systemie aliansów Francji, Polska może zastąpić miejsce Rosji lub też *może myśleć sama o prowadzeniu wojny z Niemcami.*"

Czyż obecna współpraca militarna naszych Sprzymierzonych z Rosją Sowiecką, której punktem szczytowym będzie utworzenie drugiego frontu w Europie, nie jest potwierdzeniem przewidywań Maxa Wernera. Na jego autorytecie opierałem niejednokrotnie moje komentarze o sytuacji na froncie sowieckim, które ściągnęły na mnie zarzut "gloryfikacji armii sowieckiej ze strony tych, którzy przepowiadali, że Niemcy w trzy miesięce zajmą Moskwę . . ."

Przejdę obecnie do poufnego odczytu generała Haldera, który niewątpliwie nie był też znany autorowi artykułu w "Zaczynie." Halder zaczyna swój wykład od wyznania, że "spadł mu kamień z serca, gdy skończyły się tak zwane przyjazne stosunki z Polską." Przechodząc do oceny Polski jako przeciwnika, twierdzi on, że "aczkolwiek niedocenianie przeciwnika nie jest w zwyczaju oficera niemieckiego, to w danym wypadku pobicie Polski nie będzie trudnym zadaniem. W zniszczeniu Polski musi być ustanowiony rekord szybkości. Gwarancja brytyjska przyniesie Polsce mało korzyści, a w każdym razie nie przeszkodzi nam w najeździe na jej ziemie."

Mówiąc o armii polskiej, generał Halder podkreśla "zacofanie techniczne. Polska broń pancerna jest po prostu zabawką i nie może być traktowana poważnie. Próba zastąpienia jej przez liczną kawalerię, będzie po prostu katastrofą. Lotnictwo polskie, jeżeli idzie o liczebność i wartość jest zbyt słabe, by mogło poważnie występować na polu bitwy. Ponadto ilość bombowców jest mała i ich nośność zbyt ograniczona, by mogły one dokonać nalotów na Niemcy." Szczególnie jednak podkreśla generał Halder /podobnie zresztą jak i Werner/ "bezprzykładną słabość polskiego potencjału wojennego, pozostającą w związku z słabością przemysłu wojennego." Ponadto krytycznie wyraża się on o polskiej metodzie dowodzenia, twierdząc, że jest to "*Kriegsführung etwa von* 1870/1" i w tym miejscu cytuje nazwisko generała Sikorskiego, który "*dies schon warnend hervorgehoben hat*" /przed tym już przestrzegał/.

Niezmiernie interesującą jest zwięzła charakterystyka armii polskiej w ustach Haldera: "mała, naprawdę odważna, ale źle uzbrojona armia manewrowa, bez wystarczącej siły ogniowej—coś w rodzaju armii rumuńskiej plus polska odwaga . . ."

Najciekawsze oczywiście w odczycie Haldera są przewidywania co do samej kampanii. Tu odnaleźć można wiele zbieżności z artykułem "Zaczynu" . . . "Nie możemy—mówił wojskowy niemiecki—prowadzić w Polsce żadnych bitew w klasycznym pojęciu tego słowa. Musimy działać błyskawicznie i miażdżąco. Armie skoncentrowane w Prusach Wschodnich, na Pomorzu, Brandenburgii, Śląsku, Morawach i Słowacji będą działać dośrodkowo nie na Warszawę, ale na pewien określony punkt na wschód od Warszawy /była to Włodawa, gdzie nastąpiło zamknięcie kleszczy niemieckich/. Nie można pozostawić Polakom czasu na odwrót. Musi być zrealizowany manewr Kann, który jest zawsze naszym ideałem. Absolutnie nie poddajemy w wątpliwość bohaterskiego oporu narodu polskiego, który zapewne będzie rozpaczliwy—ale nie może w ogóle dojść do tego, by armia polska mogła się ustabilizować na pewnej linii."

Generał Halder zakończył wykład następującym zdaniem: "Moi Panowie. Ja wiem, że to, co powiem brzmi nieprawdopodobnie. A jednak jest to możliwe. Musimy uporać się z Polską najpóźniej w trzy tygodnie, być może nawet w 14 dni . . ."

Tyle generał Halder, który podobnie jak i Max Werner w swojej nowszej książce, pod tytułem: "*The battle for the world*" /Wojna Światowa/ wydanej już w kwietniu 1941 wyrażają się z całym uznaniem dla bohaterstwa polskiego szeregowca i oficera. To bohaterstwo znalazło zresztą pochlebną ocenę nawet w ustach samego Hitlera w mowie wygłoszonej wkrótce po kampanii wrześniowej. Na to zdanie Hitlera często powołują się nasi propagandziści, przemilczając jednak drugą połowę tegoż zdania: "*die oberste Führung war unter jeder Kritik . . .*"

A teraz przejdźmy z kolei do zaiste proroczego artykułu rotmistrza W., z którego pozwolę sobie przytoczyć parę ustępów: "Bardzo wielu na szerokim świecie i w Polsce nie wierzy w możliwość wojny.—Pierwszą hipotezę, która mogła Hitlerowi zapewnić niezachwianą wiarę w zwycięstwo nazwijmy "wojną jednotygodniową." W jaki sposób może Hitler urzeczywistnić tak istotnie "błyskawiczną" wojnę? Tylko przez zastosowanie dwóch odwiecznych zasad taktyki; zaskoczenia i skupienia sił dla uderzenia w decydującym miejscu. Postęp techniczny proporcjonalnie potęguje skuteczność zastosowania obu zasad: koncentracja 80% sił lądowych i prawie całego lotnictwa na froncie wschodnim, otwiera przed Niemcami olbrzymie perspektywy. W ciągu 48 godzin zniszczone będą główne centra dyspozycji i centra komunikacyjne; lotnictwo przyduszone do ziemi lub zaskoczone na otwartych lotniskach.—Mobilizacja i koncentracja zostaną uniemożliwione przez wkraczające nieprzyjacielskie oddziały zmotoryzowane.—Stolica leży w gruzach.—Zwycięstwo będzie tak szybkie, decydujące i miażdżące, że właściwie nawet bez formalnej kapitulacji ze strony rządu, bezsilnego w zupełnym rozprzężeniu czynników państwowych można będzie mówić o końcu oporu.

Zresztą hipoteza ta nie wyklucza interwencji mocarstw zachodnich. Ale najbardziej zdecydowanym ich krokom nie zdołają nadążyć działania wojskowe: nie tylko o przełamaniu, ale nawet o zmontowaniu poważniejszej akcji na odcinku Linii Zygfryda w ciągu paru dni nie może być mowy. Lotnictwo nie zaatakuje Berlina, nie chcąc stwarzać precedensu usprawiedliwiającego bombardowanie Paryża i Londynu—Niemcy zachowają w stosunku do Zachodu zupełną bierność wojskową a nawet dyplomatyczną . . ." Czy było inaczej na froncie zachodnim?

W wypadku niesprawdzenia się hipotezy wojny tygodniowej, autor artykułu liczy się z drugą hipotezą "wojny jednomiesięcznej." "Jeżeli zaatakowany naród polski nie da się skruszyć bombardowaniem lotniczym, jeżeli nie zostanie zaskoczony do tego stopnia, że nie będzie mógł okazać żadnego oporu, wówczas jego żywe siły zgromadzone w zachodniej części państwa zostaną ujęte w kleszcze dwóch uderzeń, z których jedno wychodzące z Bramy Morawskiej lub ze Śląska ku północo-wschodowi, drugie z tego potężnego "place d'armes," jakim są Prusy Wschodnie, ku południowi. Olbrzymia przewaga liczebna a zwłaszcza techniczna zapewnia Hitlerowi zwycięstwo . . ." /porównaj odczyt Haldera . . ./

Przewidywania autora sięgają jednak dużo dalej poza sam przebieg wydarzeń wojskowych. Twierdzi on, i to w momencie, kiedy w Moskwie toczone jeszcze były obrady pomiędzy delegacją wojskową francuską i brytyjską oraz przedstawicielami armii czerwonej o zawarcie sojuszu wojskowego, że "o ile by Polacy okazali się przeciwnikiem tak wytrwałym i zręczynym, że zdołaliby po ciężkich walkach na zachodzie kraju wycofać się na wschód i zorganizować tam najodpowiedniejszą dla nich linię obrony, opierając się na północy na granicy litewskiej, na południu na rumuńskiej—w tej sytuacji Hitler będzie mógł próbować zabiegów dyplomatycznych w Sowietach . . . Propozycja zlikwidowania uderzeniem od tyłu oporu polskiego, wzamian za wszystkie białoruskie i małoruskie ziemie—nie zostanie zapewne odrzucona przez Rosję . . ."

Na tle przytoczonych uprzednio rozważań i przewidywań powag niemieckich, jakim realizmem, jak bliskim tragicznej rzeczywistości przepełnione są wieszcze poglądy skromnego rotmistrza kawalerii polskiej.

EUGENIUSZ HINTERHOFF

Żołnierz bez skazy

Generał Stefan Suszyński, o którego zgonie na wygnaniu w Rosji doszła niedawno smutna, a niestety sprawdzona wieść, był z urodzenia kresowcem. Urodził się, jak Kmicic, na wsi w Orszańskim i, jak Kmicic, obrał sobie wojaczkę za zawód.

Na tym jednak kończą się zasadnicze między nimi podobieństwa. Chyba tylko to jeszcze, że i generał towarzyszkę życia znalazł na Żmudzi i że po długiej służbie wojskowej powrócił na rolę. Był jednak przeciwieństwem lekkoducha, szaławiły i nie dobierał sobie nigdy hulaszczych komilitonów. Stanowił typ wzorowego oficera i gentlemana, oddanego swoim obowiązkom dowódcy, głęboko wierzącego katolika i w ogóle takiego człowieka, któremu chętnie powierzano swój honor i najdroższe, jakie się miało, skarby. Nie było rąk pewniejszych, niż jego ręce.

Czyż można więcej o człowieku powiedzieć, kiedy się wie, że kreśli się kartę jego życia? Kiedy się wie, że nie spojrzy się już nigdy w te lekko spłowiałe, najuczciwsze oczy, które nie wiedziały, co to kłamstwo? Znały jedną jeszcze rzecz: prawdziwą odwagę. Pod tym względem Stefan Suszyński wierny był swojej orszańskiej tradycji.

Kiedy w roku 1918 objął nasz pułk Krechowiecki po poległym pułkowniku Mościckim, poczuliśmy zaraz, że to inny wprawdzie dowódca, lecz równie wysokiej klasy. Rzadko wzywał do raportu, rzadko i łagodnie karał, a przecież winowajca wychodził od niego spotniały jak mysz, i z takim poczuciem winy, że choć w łeb sobie strzelaj. Taka promieniowała zeń wartość i takie mocne przeświadczenie, że służba oficerska—to kondensacja obowiązku, poświęcenia i honoru, że to diament, na którym nie może być skazy.

Nie zawiódł nas nigdy; był świetnym dowódcą i wychowawcą. W najcięższej dla pułku chwili, gdy dławiła nas pleśń bobrujskiej demobilizacji, wytrącił komuś z ręki pistolet, już do skroni przyłożony, i zawołał tak, aby go wszyscy słyszeli:

—Grajcie nam wesoło, trębacze! Pułk nie umarł; pułk wchodzi pod ziemię, aby wyjść i znów służyć ojczyźnie w pełnym blasku, jak pod Krechowcami!

Dane mu było, niespełna w dwa lata, wracać na czele zwycięskiej brygady do Warszawy, a potem być przez dłuższy czas gorliwym komendantem stolicy. Ktokolwiek zetknął się z nim wówczas, każdy mu coś zawdzięczał. Jeden wydobycie z ciężkiego służbowego nieporozumienia—czasy były powojenne, jeszcze mało skoordynowane—inny kwaterę, o co wtedy tak było trudno, inny jeszcze po prostu materialną pomoc. Dla kolegów-żołnierzy zawsze miał serce na oścież otwarte, dla zwierzchników—wierność i lojalność. Dowiódł jej Prezydentowi Wojciechowskiemu, chociaż był z pewną sympatią dla strony przeciwnej.

Z żalem powiedzieć trzeba, że w następstwie nie odpłacono mu dobrem za dobro. Gdy po wypadkach majowych usunięto go z zajmowanego stanowiska, nie pozostawiono mu nawet czasu na wyszukanie mieszkania, a byli i tacy, którzy udawali, że go nie widzą. Jedyna to rzecz, o której ten gołębiej słodyczy i łagodności człowiek nie mógł mówić spokojnie. Tak niepojętą dlań była małość i podłość ludzka.

Kiedy Marszałek Piłsudski pierwszy raz jechał do Rumunii, nie znalazł lepszego szefa dla swej świty, niż generał Suszyński. A jeszcze dawniej, za czasów służby w pułku rosyjskim, Stefan Suszyński był znany w całym piotrogrodzkim okręgu wojskowym, jako przyrodzony opiekun służących w wojsku Polaków, ich doradca i obrońca. Uważano to wśród Rosjan za dziwactwo, ale godzono się z tym, taki szacunek miano dla wzorowego oficera. Czemuż trzeba było, aby rodacy zatruli staremu żołnierzowi ostatnie chwile służby?—

Schyłek swego życia spędził generał Suszyński na wsi, wśród wileńskich borów. Nie zerwał jednak z kolegami, przewodniczył im zawsze na zjazdach i zebraniach, a także wydajnie pracował dla Akcji Katolickiej. Z Wilna dostał się na wygnanie, z którego nie powrócił.

Był to najczystszy wzór żołnierza i człowieka, jakiego wojsko wskrzeszonej Polski miało w swoich szeregach.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

Księga dwóch lat

W drugą rocznicę walk Dywizjonu "POZNAŃ" na ziemi angielskiej

Stacja RAF—28 *lipca* 1942.

Bez złoceń i bez srebrnych orłów na okładkach, ubogą i z poszarpanymi brzegami mamy księgę dywizjonową. Jej niebieskie kartki symbolicznie przewleczono sznurem czerwonego koloru, by złączyć je razem, jak czyśćcowe dni naszego dwuletniego żywota. Częściowo jest on w niej zawarty—w niej i w załącznikach.

Wycinki i raporty angielskie; oficjalne od wysokich władz gratulacje ze stemplami lotnisk, przez które przeszliśmy i fotografie, jak gramy w karty; depesza, że Zbyszkowi urodził się syn prawowity i obok—rachunek za połowę samochodu, którą Mały tak drogo wtedy "kupił," rozbiwszy przedtem o policyjne auto.

Księga nie ma wyraźnego początku, tak jak i nasz dywizjon. Dzieje nasze rozpoczynają się bowiem jeszcze od tych prehistorycznych dni obecnej wojny: pamiętnych a beznadziejnych zmagań w obronie naszych nadwarciańskich progów. Ciągną się dalej nieprzerwanie, jak tułacza droga przez obce horyzonty, przez Francję, gdy istnieliśmy jako 145 *Groupe de Chasse Polonais*—jedyny całkowicie polski dywizjon; przez klęskę i kapitulację; przez ewakuacyjne tragedie i początkowe trudności w Anglii.

W połowie lipca 1940—jak mówi księga—dywizjon przyszedł na świat po raz drugi, a jego piloci stali się trzeci raz uczniami. A byli to starzy doświadczeniem piloci. "Finlandczycy"—ci, co zgłosili się w styczniu 1940 roku ochotniczo na front fiński, a później stali się owym 145-tym dyonem nad północną Sekwaną, niektórzy ze sławnych "Montpellijczyków" i kilku RAF'owców.

Anglicy okazali nam dużo zaufania i wierząc, że potrafimy latać, odstąpili wyjątkowo od swych reguł. Po kilku zaledwie lotach na typach przejściowych dano nam "Hurricane'y" — te wyśnione przez nas w tragicznej wrześniowej malignie cuda. To też pod koniec lipca na pewnym lotnisku w Yorkshire malowaliśmy na swoich maszynach polskie szachownice, drżąc jednak na myśl o olbrzymich trudnościach, jakie nas czekały. Zupełnie nowe maszyny, nieznany nam osprzęt na nich, obca i skomplikowana organizacja dowodzenia i—to największe zło, niepojęta zagraniczna mowa.

Wojna dokoła. Żyje się rozkazami. Źle, jeżeli nie wykonuje się ich szybko, a w powietrzu błyskawicznie. Gorzej jednak, gdy się z nich słowa nie rozumie, tak jak my . . . Rozmowa przez radio wykluczała zupełnie użycie naszego doskonałego systemu porozumiewania się rękami. Była znacznie trudniejsza, niż sklepowa transakcja lub umówienie "date" ze złotowłosą miss Eileen. Jej można było narysować plan miasta, oznaczyć snack-bar krzyżykiem i dopisać: 5.15. Zrozumiała i przyszła. W "Hurricane'ie," wypchanym po brzegi zagadkowymi urządzeniami, trudno było umieścić bodaj kartkę z zasadniczymi wyrażeniami na ewentualną rozmowę przez radio.

Sytuacja mechaników była nieco lepsza. Obłożyli się słownikami, jak przed maturą, naprędce przetłumaczono dla nich instrukcje, a resztę dokombinowywali wśród gwarnych kłótni. Bez słów zresztą wielokrotnie rozbierali maszynę i składali, kłócili się, gdy za dużo części zostawało i znowu grzebali od początku. Poznali samolot wcześniej, niż właściwą wymowę jego nazwy: "Hurricane."

Dzięki niestrudzonej pomocy instruktorów i wrodzonemu nam —musimy się przyznać—polskiemu sprytowi, przebrnęliśmy przez te trudności szybko i pomyślnie. I po dniach, zapełnionych od świtu do nocy lotami, angielskim, ćwiczeniami z radiem i innymi /tajemnica wojskowa/ przyrządami —odnieśliśmy pierwsze sukcesy. Trzy Ju-88, zestrzelone dokładnie w miesiąc od rozpoczęcia szkolenia w Anglii, a w dwa—od chwili, gdy ostatnie patrole polskie wystrzeliwały ostatnie pociski nad Francją, już po jej kapitulacji.

Gdy "*blitz*," jak powódź zaczął wzbierać, weszliśmy do akcji na dobre. Jako nowi aktorzy na obcej scenie, graliśmy z angielskimi kolegami tę wielką sztukę w ich języku—bez tremy. Dnia 15 września "302" startował tylko dwa razy, ale wieczorem przyszło potwierdzenie wyników: zestrzelonych 12 napewno i 7 prawdopodobnie. To było godne tej historycznej daty, dnia największej bitwy powietrznej w historii.

Dywizjon nie miał jednak w *Battle of Britain* dużo takich dni. Stojąc fatalnym trafem na północy, przychodził tylko czasem na "gościnne występy" pod Londyn. To też nie jesteśmy tak bogaci, jak nasi bliźniacy, sławni "Kościuszkowie."

Wiosną następnego roku zmieniło się bardzo wiele. Szczególnie niemiecka taktyka. W dzień nie można było ujrzeć nieprzyjacielskiego bombowca, nawet naszymi sławnymi oczyma. Niemcy bowiem po nieudanym jesiennym *blitz'u* przypuścili wiosną nowy, ale wyłącznie myśliwski i obliczony na takie zużycie naszego lotnictwa myśliwskiego, aby już nie było zdolne zagrodzić dróg inwazji. Praca była bardzo trudna. Pod Londyn przychodziły na troposferycznych wysokościach niemieckie *sweep'y* Messerschmidt'ów, znacznie ulepszonych w ciągu zimy. Aby je przychwycić, trzeba było startować błyskawicznie w chwili alarmu.

Dzięki wysokim wymaganiom ś.p. Piotra, a chęciom pilotów i mechaników, doszliśmy do takiej perfekcji, że ze stanu pogotowia (piloci grają w karty) po otrzymaniu telefonicznego rozkazu, sekcje były w powietrzu po dwu, a cały dywizjon—po trzech i pół minutach. W tym uzyskaliśmy pierwsze miejsce wśród wszystkich squadronów stając się "*the fastest squadron of the Empire*."

Równie szybko trzeba było wdrapywać się pod słońce, na 35000 stóp, lub wyżej, gdzie nogi i ręce kostniały z zimna, choć twarz ociekała potem, a brak tlenu odbierał siły. Trzeba było mieć żelazne zdrowie i iście orli wzrok, by ostrowidząco przenikać słoneczną przestrzeń w wypatrywaniu wroga. Przegapienie go kosztowało drogo.

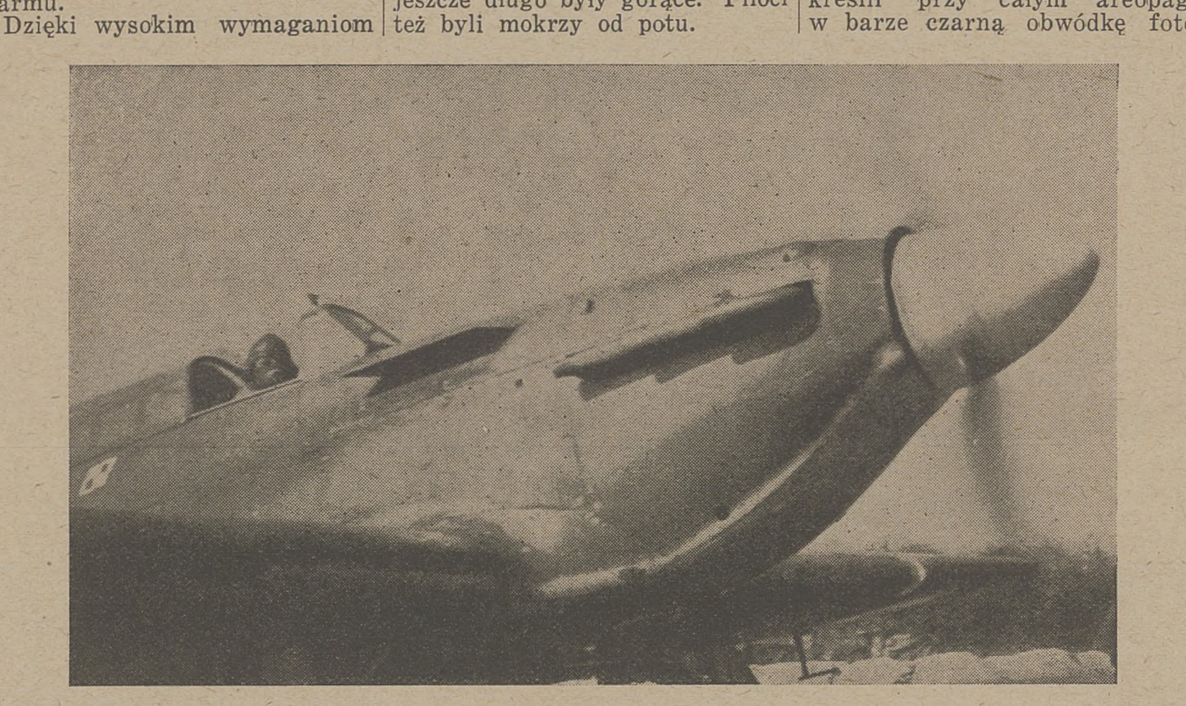
Pewnego ranka majowego sześć naszych "Huricane'ów" tak spotkało się z szóstką Me 109. Nasza eskadra, poderwana alarmem z ziemi, poszła, jak zwykle, wyżej, niż kazano. Leader wiedział bowiem, że to lepsze, niż niewielki nawet deficyt w wysokości. Niemcy przyszli niżej i eskadry nie zauważyli w ogóle, sądząc po zupełnym w ich szykach spokoju. Półgodzinny lot od brzegów Francji wśród rażącej jasnością przestrzeni, stępił ostrość ich wzroku, nie widzieli więc, jak pod słońcem szóstka wyciągnęła się nieco w tył i jedną maszyna za drugą poszła bojowym wywrotem w *piqué*. Wprost na ich tyły.

W ciągu kilku chwil rozegrała się piekielna walka. Mówiły w niej tylko wyjące silniki i rozedrgane lufy karabinów. Wielkie łuki smug, które poszły od końców skrzydeł, pokrzyżowały się z błękitnymi śladami pocisków i zmieszały, rozpędzone straszliwymi cięciami płatów. Wykwitły czarne pióropusze dymu, zawirowało samotne, odstrzelone skrzydło, poleciał w dół kadłub ze swastyką i dalej spadały pojedyńcze kawałki. Z tyłu rozwinął się biały spadochron.

Wkrótce wszystko znikło w śnieżno-białych szczytach chmur. Tak białych, jak świeży śnieg w Poroninie. Nad nimi uganiało jeszcze sześć Hurricane'ów z polskimi szachownicami na kadłubach. Szukały bodaj cienia wroga.

W *operations* tymczasem kontroler wołał od kilku chwil kogośkolwiek z eskadry przez swoje radio. Nikt nie odpowiadał. Wreszcie odbiornik zachrobotał a w nim zdyszany głos: "Hallo, K-samoloty! K-leader woła. Zbiórka za mną w patrolowym!" Kontroler spojrzał na zegarek. Upłynęło dokładnie siedem minut od czasu, gdy Tadeusz meldował mu: "Widzę sześciu. Zbliżam się do ataku." I teraz kontroler czekał z zapartym tchem, bojąc się zapytać: "Ilu masz?" Ale tamten w powietrzu znał ten ból. Niepytany zaraportował: "Hallo, G . . ! K-leader woła. Jesteśmy wszyscy. Idę nad "Rock" patrolować." Kontroler ciężko siadł na krześle. Z Niemców jeden wraca do Francji, a ten idzie nad "Rock" patrolować.

Kiedy eskadra wylądowała, mechanicy stwierdzili, że żadna z maszyn nie ma najmniejszego śladu walki. Chyba to, że silniki jeszcze długo były gorące. Piloci też byli mokrzy od potu.



W tej stratosferycznej pracy poznaliśmy—młodzi ludzie—smutną treść określenia: "skończony pilot." Tragedią było, gdy żebrząc, stawał przy maszynie, z której go lekarz wyrzucił, jak uczniaka z wilczym biletem z klasy i nie mógł lecieć. Toteż czasem kazano nam siedzieć na odległych wysepkach /oczywiście wbrew naszej woli/ i patrolować morskie konwoje. Pracy tej nienawidzimy serdecznie. Jest ciężka i żmudna, a bez widocznych dla nas efektów.

Tyle razy trzeba było się włóczyć daleko nad morzem, często w deszczu i w strzępach chmur sięgających do wody, nie widząc cienia brzegu, ani nawet horyzontu. Najczęściej latało się w dwie maszyny. Gdy kiedyś bocznemu motor "nawalał," dawało mu się rozkaz: "do domu," lecz kiedy pogoda była bardzo podła—trzeba było odprowadzić go aż nad brzeg i wracać w pojedynkę nad konwój, półdrzemiąc, wiązać dalej monotonne esy dokoła "łajb," dopóki nie przyszła zmiana. Uważać trzeba było jedynie na maszty, nieco więcej, gdy konwój miał własne balony. Na npla nie czekało się, bo z reguły nie przychodził, wiedząc zresztą, że my tam jesteśmy. Nie wiedział, że drzemiemy i ile razy spróbował — czuwaliśmy uczciwie. Walił wtedy na pełnym gazie w chmury lub do morza.

Często nas przenoszono. Jeżeli szliśmy w "cieplejszą" strefę, z radością rzucało się stare kąty. Stacja była dla nas wtedy przebrzydła, a my dla niej lepsi, niż wszyscy przed nami. . . Czasem naprawdę i szczerze tak myślano. Dywizjon miał takie przytuliska. Z T. . . na przykład nie chcieliśmy odejść, a Wusio i wielu innych nałogowo i długo je odwiedzali. Po naszym odlocie —jak wieści głosiły—wszystkie kobiety chodziły tylko polskim żórawiem i miasto długo obnosiło po swych ulicach ciężką żałobę.

Miejscowy X squadron nazajutrz podobno zaczął ćwiczyć "*formation à la* 302."

My tymczasem przylecieliśmy na nowe lotnisko naszym własnym rodzonym szykiem, ubezpieczani skutecznie od tyłu przez "Magistra" (załoga: Sołtys z Adamem). Trudno było zachować łączność wzrokową ze "Złotą Strzałą" Janka J., który przemknął 50 mil drogi do K . . . w rekordowym tempie trzech godzin, nie zatrzymany przez żadnego policjanta (co zresztą było niemożliwe—samochód od urodzenia nie miał hamulców). Tubylcy sprawili nam przykrość zaraz na wstępie, twierdząc, że bar otwarty dopiero od 6-tej i że "na ogólny szczot" pić nie można. Uchwaliliśmy wprowadzenie reform.

Tak było często. Zawsze mieliśmy dużo kłopotów, szczególnie z samochodami prywatnymi, zwłaszcza, że jak cyganie, woziliśmy w nich całe prywatne mienie, wiele rzeczy po "szpitalnikach," czasami po tych, co z niemieckiej niewoli bezczelnie pisali, aby im wszystko zachować. Z wolą takich poważnie należało się liczyć, gdyż nie wiadomo nigdy, kiedy taki włóczęga wróci.

Księga nasza ma wśród swych kart i taką, na której Sołtys przekreślił przy całym areopagu w barze czarną obwódkę fotografii, ponieważ "Marian wrócił zdrów i cały." Ten rzeczywiście, cywilnie, tylnym wejściem, wrócił do bazy. Był sczerniały i wychudły, cichy i pokornego serca. Ale gdy tylko "odżył" na angielskich witaminach, *cup of tea* regularnie i namiętnie pijąc, gdy znowu wsiadł do maszyny, rozglądając się z radością, jak po dawno niewidzianym domu—odżyła cała jego rogata dusza. Mści się na Niemcach na ten sam rachunek, co poprzednio, oraz prywatnie, ale nałogowo wraca z każdego lotu wprost do bazy.

Jak zawsze, złą stroną latania jest jego bezpośredni związek ze szpitalnictwem, a kulą u nogi dywizjonu są ci, którzy wylecieli na *out* lotniczego życia — do szpitali. Było sporo takich w ciągu ubiegłych dwu lat. Jeden szczególnie był uciążliwy. Nie wiadomo było, czy przesłać jego dane do PCK, czy i jak wkleić fotografię do księgi, bo nawet lekarze nie wiedzieli, ile dni jeszcze "pociągnie." Piloci i mechanicy musieli pełnić na zmianę 24-godzinny dyżur, jak wartę, wsłuchiwać się w gorączkowe brednie i ze słownikiem tłumaczyć angielskim siostrom. Ten nie tylko przetrzymał, ale i uciekł ze szpitala. Wróciwszy do dywizjonu, stał się dopiero klęską. Mimo, że chleba nie mógł sobie ukrajać—zaczął latać. Piotr kazał go brać w środek szyku i obserwować nie mniej, niż nieprzyjaciela. Mądry Piotr wiedział, co mówi. Po takich można się wszystkiego spodziewać.

Był i drugi taki. Mając gipsowy gorset od bioder po szyję, dał sobie wytłumaczyć, że nie może latać, ale gdy tylko zaczął chodzić—wybierał się na tańce. "Dla gimnastyki"—mówił. Rzeczywiście ze swym dodatkowym balastem mógł się kręcić, jak żyroskop. Koledzy musieli mu wyszukiwać tylko dla takich celów tancerkę z odpowiednią tuszą, jako przeciwwagę. Teraz zdjął już gorset i rozsądnie zaczął latać.

Nowy rozdział w naszej księdze otworzyło przyjście "Spitfire'a." Była to duża zmiana w porównaniu z Dziadkiem-"Hurricane'em." Trzeba było się do niego przyzwyczaić i wielu nowych drobnostek nauczyć. Mechanicy swoim zwyczajem zabrali się ze zdwojoną energią do nowych maszyn, wprowadzając Anglików w osłupienie—wnikliwością, sprytem i tempem.

To też zaraz zaczęliśmy latać z masowymi wizytami nad kontynent. Sami lub w osłonie bombowej braci, która w naszym towarzystwie po tamtej stronie naprawdę mniej się Niemców boi. Swego czasu, po wyprawie nad Brest, przysłali nam nawet długie i serdeczne podziękowanie za troskliwą opiekę. Dywizjon dopisał sobie wtedy kilka nowych swastyk. Siedem—razem z innymi *Poles*.

Dywizjon kontynuuje w dalszym ciągu wraz z innymi te ofensywne wizyty, na różnych wysokościach i w różnych szykach nawiedzając drugą stronę Kanału. Staje się to coraz trudniejsze wprawdzie, gdy nieprzyjaciel wprowadził nowe maszyny, nawet przez Anglików oficjalnie uznane za najlepsze w świecie. Mimo tego, prawie codziennie, czasem częściej, przypominamy Niemcom, że niebo, po którym latają, nie jest już ich niebem. Czekamy na zapowiedziane nowe samoloty, by i o czymś więcej ostrą amunicją dyskutować.

Nasza dwuletnia księga mieści na swych kartach obok cyfr radosnych zwycięstw i ciężką treść przegranych. Liczne są karty z fotografiami w czarnych obwódkach. To ci, co odeszli. Stanęliśmy na baczność przy wczorajszym apelu i w ciszy przed ich milczącymi cieniami.

Kiedyś i gdzieś, potknąwszy się na zdradliwych niebieskich wertepach, z wysokich pięter spadli na ten najniższy parter—metr za nisko, pod horyzontem. Mimo że otrzymaliśmy potem genewską depeszę Czerwonego Krzyża, lub nieśliśmy niektórych na barkach —zdaje nam się wciąż, że wysoko na błękitnym niebie, na beztlenowej granicy troposfery, ciągną się białe smugi za nimi. Rozmawiamy o nich, krytykujemy jeszcze, jak żyjących. Ich niebytu nie umiejscawiamy w mrocznych podziemiach świata, lecz tam, gdzie żyli—w górnej, słonecznej stratosferze, nieograniczonej w wymiarach dla oka, ani wyobraźni.

Czasem, widząc te tak znane, a zawsze tajemnicze białe wstęgi na błękicie, chciałoby się wskoczyć w pierwszą z brzegu maszynę, wystartować, jak na alarm, przychwycić i sprowadzić marudera na ziemię. Kontroler również rzuciłby rozkaz przez swoje radio:

—Ląduj, Piotr, do cholery! Za długo się włóczysz i benzyny ci braknie!—jak wtedy, gdy Piotr nad Kanałem czaił się za Niemcem między chmurami przez okrągłe półtorej godziny.

Uparty Piotr i tak nie wrócił —innym razem.

Długą litanią nazwisk, tak zbuntowani, na drogach ludzkości gdzieś zostali. Odeszli z szumem —rok temu, tydzień, czy przedwczoraj—jeden za drugim, jak te boskie kamienie rzucane na szaniec. I nam, przerzedzonym braciom została tylko święta po nich pamięć, na której, jak na wstędze, przypięto krzyż "Virtuti Militari".

Bez złoceń i srebrnych orłów, ubogą i poszarpaną księgę doprowadziliśmy dziś, w nasze święto, do końca. Może to i symbol. Może ją wkrótce pozostali z nas zaniosą do Domu, jak grudę rodzinnej ziemi, stamtąd zabraną i Grzymałowym Wozem w poprzek przez świat przewieziona.

Naszą nową księgę zaczniemy wypełniać od dziś, może nie do końca, ale godnie, jak poprzednią. Tak, jak nam Wódz Naczelny na jej pierwszej stronie rozkazał. Idąc drogą żołnierskich jedynie czynów—szeroko rozciągniemy wolność poprzez polskie niebo.

CZESŁAW GŁÓWCZYŃSKI

Etap w Ziemi Świętej

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

ŻOŁNIERZE POLSCY WŚRÓD INNYCH

Ta ziemia w obecnej wojnie miewała dwojakich przybyszów.

Ci jedni—to wojsko: Anglicy, Szkoci, znienacka wparadowujący między tłumy na chodnikach w barwnych spódniczkach, Południowo-Afrykandrzy, płatni jak nababy, każdy z czarnym do posługi osobistej, Hindusi w turbanach, Nowo-Zelandczycy i zwłaszcza Australijczycy—pełno Australijczyków, w rozchełstanych koszulach z dosyć mętnym, urlopowym spojrzeniem.

Ci ostatni nadawali ton Tel-Avivowi. Ludność ich bardzo lubiła, bo oni znowuż nie lubili trzymać pieniędzy w kieszeni. Handlowa kulantność Telawiwczyków i rozlewna rozrzutność chłopców z ranczów stepowych zawarły swoisty *gentleman agreement*. Australczyk w pierwszym dniu urlopu płacił horendalnie, w drugim słabiej, a w trzecim szofer wiózł go darmo, a szynkarz darmo nalewał piwo.

Wśród tego wesołego harmideru na ulicach, improwizowanych meczów bokserskich, wyścigów w wózkach dziecinnych, których rozanielone właścicielki otrzymywały na miejscu indemnizację w postaci odkupowanych nowych wózków, pohukiwań i pokrzykiwań, rogata furażerka—niby taka sama a jakoś wyfasonowana i noszona specjalnie, furażerka z orzełkiem na samym czubku, uskrzydlającym to alianckie okrycie głowy—pokazywała się dosyć rzadko. Wiadomo było, że mają robotę—tam w tym Tobruku, którego bronili wiele miesięcy.

Żołnierz polski stał na pół drogi między Anglikiem a Australczykiem. Lubił się pośmiać, ale lubił też stąpać jak ta Halina u Brodzińskiego "z miną uroczystą"—pan plutonowy, pan podchorąży, pan sierżant-szef. Czuli się nieźle i dogadywali się z ludnością o sobie znajomych kątach. Oceniano ich rzeczowo i z odczuciem sentymentu:

—Polak?—zastanawiał się oberżysta, którego pytałem o typy żołnierzy—wiadomo: nasz, to lubi, żeby mu dać tłusty mostek, dużo kartofli, zimne piwo. On chce dobrze zjeść.

—Zrobiłbyś pan m a j l a n d, gdybyś tak ogłosił, że "U nas jak u mamy" i że "noga w kotle się gotuje, Ciebie gościu oczekuje."

—Tego rozumiem też . . . Ale, jeszcze w tym lokalu świni nie było.

UCHODŹCY—GWARDIE I TABORYCI

Druga kategoria przybyszów, to ludzie przygnani przez losy wojny. Jeśli wojsko ma swoje szarże, tradycje, mundury, gwardie, "leśnych dziadków" i frontowiczów, to nasze bractwo refugiackie ma też swoją arystokrację i swój proletariat.

Więc największa arystokracja, to "Goście Króla Jegomości." Byłem takim. Na Cyprze. Mieszkałem w hotelu dla milionerów. Jak bajka . . . Z tą różnicą, że miodu i wina nie piłem, po brodzie nic nie spływało i z tym podobieństwem, że w gębie, respective w kieszeni, nic nie zostało. Potem "H.M. Goście" przechadzali się po Ziemi Świętej przez sześć tygodni i schytrzyli się wyjechać w taki zakątek ziemi, gdzie zaciemnienie robią jeszcze tylko murzyni.

Potem byli certyfikatowcy. To znaczy tacy, którzy przyjechali na certyfikat i mają prawo zarobkowania. Ale dla nieobrzezanych w tej kategorii jest n u m e r u s n u l l u s. Następny gatunek to ośmiofuntowcy—jest to rdzeń narodu refugiackiego, postękującego sobie dosyć na tych ośmiu funtach w kraju, w którym farmer kupuje krawat za kartofel i żąda reszty. Wstydliwie kwitnie kategoria pobierająca dodatki, ale tam jest ostry n u m e r u s c l a u s u s. Wreszcie pariasi świata wygnańczego—ci, którzy przyjechali nielegalnie. Tu też wyjątkowe p r i v i l l e g i u m o d i o s u m mają Żydzi.

JACYŚ NOWI ŻOŁNIERZE?

Ale teraz w tym poklasyfikowanym świecie gości Ziemi Świętej zaszło zamięszanie. Zabrakło Australijczyków, wołających na każdego przechodnia "George!" i proponujących, aby szedł na wódkę lub żeby dał pieniędzy. Znikli Hindusi. Przyjechała Karpacka Brygada, która stała się "Deską" /Dywizja Strzelców Karpackich/. Wszystkie gramofony wzdłuż "Alembikówki" /główna arteria—ulica gen. Allenby/ rżną krakowiaki, kelnerki ze *sweet girlsów* przedzierzgnęły się w Marysie, a Jemenitki, służące po domach i wymawiające posadę jako, że "idą za *darlinga*" gorączkowo wypytują, jak to jest "*darling*" po polsku.

Pewien dziennik żydowski umieścił karykaturę dwuch wojaków na tle szyldów: "kiełbasa krakowska" "wódka wyborowa" i t.d. zwierzających się: "spotkaliśmy jednego Żyda, który nie umiał po polsku, ale i ten okazał się być Arabem." Choć i Arabom polski nie jest obcy. Na rynku rdzennie arabskiej Jaffy, słyszałem jak Arabka u Araba kupowała "szmates." Widać dopiero żargon przyniósł do dzikiego orientu pojęcie ścierki i tak ot żydowskie pszczoły zapłodniły arabski kwiatek polskimi słówkami.

Zamięszanie jednak zrobili nie nasi "Afrykańczycy," tylko nowy jakiś typ żołnierza. Miał cerę ziemistą, smutne i poważne oczy, a kto by nie chciał wdawać się w subtelności psychologiczne, mógł po prostu odróżnić ich od żołnierzy Brygady tym, że wszyscy byli wygoleni jak kolano.

Taki żołnierz wchodził do piekarni i kupował np. pięć bochenków chleba. Zapytany po co to robi, że przecie po południu będzie nowy wypiek, sumitował się, że "to ja . . . może . . . część odstąpię kolegom . . ." zażenowany, że się wydał śmiesznym, bo przecie d o s k o n a l e p a m i ę t a ł, że w Polsce nie trzeba było kupować chleba na zapas, a jednak w tych pierwszych dniach pobytu nie mógł przemóc kompleksu.

Żywa, ciekawa ludność miejscowa oblegała pytaniami tych przybyszów, z którymi ciągnął inny wiew. Ale "im mówić zakazano."

NOWI KRZYŻOWCY

Pojechałem po szpitalach, do których się kładli jak muchy. Nie było sali ogólnej, zresztą wielu leży. Więc po namiotach, między łóżkami, mając po kilkunastu słuchaczy, mówiłem a mówiłem. Żar duszny stał w namiotach i audytorium miałem w bieliźnie. Widziałem nogi chude, pokryte szkorbutowymi zmianami a w otwartych na piersiach koszulach demonstracyjnie zawieszone jakieś ponad miarę duże krzyżyki drewniane z drzewa oliwnego. Pragną się wyżyć w nowej formie, nawrócić ku sobie samym i z tymi krzyżami wyglądają jak jakiś nowy gatunek Krzyżowców.

Chłopaki białoruskie z prostymi twarzami chłopów z pod Dzisny czy Nowogródka, widząc mnie, prężą się na baczność. Rozumiem przecie, że to nie przed tym grubawym cywilem. I oni to rozumieją, że nie ma żadnego musu. Po prostu—jest to ich wewnętrzna potrzeba wyżycia się w polskości. Dla tych chłopaków ta polskość przed wojną to był najczęściej po-



Palestyńskie winogrona smakują słodko

licjant i urzędnik skarbowy. A te marzenia były gdzieindziej . . . Teraz poczuli słowami Konopnickiej: "Idziem do Ciebie Ziemio, Matko Nasza." Zrozumieli, że ta ziemia leży poza eurazjatycką kresą. Zachowania polskiego uczyło ich tylko wojsko, a w wojsku polskim stało się "na baczność." I teraz, jak umieją, tak podkreślają tę kulturę wspólnej ojczyzny.

SPELUNKA PROFESORSKA

"W Magdeburgu wiem ja loch podziemny . . ." A raczej jakąś komnatę Pana Twardowskiego. Komnata szumnie się zowie "Kołem Przyrodników imienia Kopernika" i poza dwoma łóżkami profesorostwa N. mieści zioła nie zioła, retorty nie retorty, probówki nie probówki, okazy cytrusów, wycinki z gazet, fotografie, widokówki, albumy, kruszynki chleba, żółwia, kameleona, packi na muchy, których się szuka na łowieckich terenach na łysinach gości—całe jakieś szlagońsko-profesorskie s i l v a r e r u m studwudziestokilowego profesora Kazia i jego małożonki Wiluśki, również doktora przyrody, żywej jak skra, zaaferowanej w Czerwonym Krzyżu.

Skoro więc "przyjechały takie goście," profesor ogłosił kanikułę na "Wyższych Kursach Naukowych." Niżej podpisany też tam wykładał "Judaica" aż biedny nasz rektor z mego powodu doczekał się raportu urzędowego, podpisanego przez pewnego majora, który meldował, że nie może chodzić na wykłady, bo być słuchaczem Wyższych Kursów koliduje z mundurem oficera polskiego jako że jeden z wykładów miał tytuł "ziemia . . . zanadto obiecana," co wedle danego oficera hańbiło naszych aliantów a według mnie było ściągnięte z małej encyklopedii Pingwina. Dosyć, że profesor ogłosił kanikułę i od wykładów i od głupoty ludzkiej i "ukrzyżował się" w tym właśnie Czerwonym Krzyżu.

W tej to więc właśnie naukowej spelunce raz po raz można obejrzeć ciekawy okaz ludzki. I podczas kiedy profesor, coś poburkując łapie na głowach gości muchy dla swego kameleona, profesorowa coś tam podpitrasza dla takiego okaza.

WŁADZIO SZCZAPEK Z POD SOKALA

Tak było i tego dnia. Kiedy zaszedłem, profesorowa, rozstawiając kiecki, zasłaniała jakiś kształt goły na balkonie. Okazało się, że kształt jest bardzo mały, choć ma dziesięć lat, na które nie wygląda. Przepustka "wydana junakowi S Z C Z A P E K W Ł A D Y S Ł A W,* ważna do dn. 12.VI.42" nie mówi, że jest z pod Sokala, ale ja to wiem, jak również to wiem, że był wywieziony z trojgiem rodzeństwa do Rosji, że siostra i dwuch braciszków /wszystko młodsze od dziesięcioletniego seniora Szczypka/ zmarło i że—profesorowej, która, rozpościerając kiecki to recytuje, załamuje się głos—Czerwony Krzyż wynalazł ojca chłopaka, który jest w szpitalu na terenie Palestyny. I że ojciec nic nie wie . . . I że go jutro powieziemy.

Tymczasem chłopak wyłonił się z balkonu w nowym mundurku, który mu zafundowała jedna z pań. Przywieziono go w portach długich jak godzinki adwentowe, które były szortami na dorosłego żołnierza i tworzyły kowbojskie klosze do ziemi na Władku. Paradował z profesorową, która go przywiozła z obozu junaków, przez ulice Tel-Avivu, podwijając dwukrotnie za długie rękawy i cierpiąc w skrytości ducha, że na za wielkim hełmie korkowym, który mu spadał na nos, nie miał orzełka, bo orzełków zabrakło.

Władysław Szczapek, junak 4-ej kompanii, usiłuje mówić basem, jest zrównoważony i poważny, przyjmuje wszystko rzeczowo. W Rosji pracował w lasach i wyrabiał swoją "normę." Widział zorzę polarną i pomagał Uzbekom łapać ryby w jeziorach tkwiących w rozpalonym stepie. Przewędrował tysiące kilometrów, przyjechał do Ziemi Świętej "sam," to znaczy w transporcie junaków. Ma duży łeb wystrzyżony na banię, chłopską twarz o wydatnych kościach policzkowych, oczy stalowe, głęboko osadzone i patrzące w sposób uważny.

Dobroczynne panie, gotowe do rozczulania się "ach chłopczyk, ach, czy chcesz lodów dziecko?" "Ach, czy się cieszysz, że zobaczysz swego tatusia?"—cichły jedna po drugiej. Władzio Szczapek przyjmował rzeczowo lody, odpowiadał solidnie "cieszem się" zlekka schrypniętym baskiem, sam o nic nie pytał, zażenowania nie okazywał, po prostu tkwił pośród nas jak zapewne tkwił w ciągu długich tygodni w tiepłuszce. Straszliwa rzeka zdarzeń, która przepłynęła nad jego głową, jak nad kamyczkiem leżącym na dnie, nauczyła go, że nic od woli ludzkiej nie zależy na tym świecie, że największa mądrość, to magazynować siły i trwać.

Teraz ukazał się zza kiecek profesorowej w szortach skrojonych na jego miarę, w zgrabnej koszul-

* Nazwisko, ze zrozumiałych względów, zmienione.

Wysoki Komisarz Palestyny Sir H. Michael w towarzystwie gen. Zająca i gen. Mac Connella przed frontem najmłodszych żołnierzy Rzeczypospolitej—junaków przybyłych z Rosji



ce "khaki" z krótkimi rękawami. Pani, która mu kupiła te cudności, przyklękła, dopasowując. Profesorowa wyporządziła mu hełm, na którym przypięła "prawdziwego polskiego orzełka, który był w Tobruku."

—No cóż, podziękuj pani za taki piękny mundurek—powiada profesorowa.

I wówczas junak 4-ej kompanii, Władysław Szczapek, nie wiedząc jak to się dziękuje po cywilnemu i babom, przypomniał sobie widać swój siedmioletni żywot we wsi pod Sokalem i jak dziękował matce, podniósł dziecinne ręce wystające z obciętych rękawów, objął za szyję klęczącą i przytulił twarz do jej twarzy. Potem nagle się obrócił i zobaczyliśmy, że starł łzy z twarzy. Nikt nie usiłował mówić: "a co ci to Władziu, a nic to, zobaczysz tatusia." Udaliśmy, że nie widzimy tych łez.

WŁADZIO ROZMAWIA ZE MNĄ I Z OJCEM

Mieliśmy pojechać do ojca na drugi dzień po południu, więc z rana, jak było umówione, przydźwigał chłopaka poczciwy profesor, onże rektor naszych kursów, onże pomagier przy aucie profesorowej /"Wiluśka" nie popuszcza kierownicy, a nas tylko pędza/.

Poszliśmy . . . do ogrodu zoologicznego. Z brzega zaraz pierwszy był bocian.

—Tego to wiem—rzeczowo poinformował Władzio. I ni z tego ni z owego dodał:—nasza chałupa była druga z kraja we wsi.

Wczoraj, w jaskini Twardowskiego, indagowaliśmy chłopca bez większego rezultatu:

—Ale ty Polak jesteś, Władziu—pytaliśmy, wiedząc, że pochodzi z okolic mieszanych.

—I rzymski katolik . . .

—A umiesz czytać i pisać?

—Nauczem się.

Teraz, przechodząc wzdłuż cudacznych zwierząt, mogłem więcej uchylić Władkowego żywota. Przed nami były pelikany o przepaścistych torbielach dziobów, czerwonaki, skręcone w różowy znak zapytania, pawie płynące w rozpostartych ogonach, całe jak fantasmagoryczna aplikacja nie liczącego się z żadnymi technicznymi ograniczeniami artysty.

Władek oglądał lwy i lamparty z rzeczowym gospodarskim zainteresowaniem. Jakby przeglądał bydło na jarmarku. Przy lamparcie stwierdził, że podobne czaiły się na drzewach w kraju, z którego przyjeżdża, przy niedźwiadku australijskim powiedział, że będąc na robocie w lesie widział "wo, jakiego miedźwiedzia, wiele większego," przy jeleniach wyrozumiałem, że widział łosie.

Podkarmiwszy małpy, siedliśmy sobie odpocząć. Okazuje się, że chodził do szkoły sowieckiej i nauczyli go czytać i pisać.

—To czemuś wczoraj mówił, że jesteś niepiśmienny?

—Ja mam to za nic.

Po zoologu poszliśmy do świetlicy, przyczem mu obstalowałem kawę z kawałkiem słodkiego ciasta. Obiad zjadł, kawę wypił, ale ciasto zawinął w papier "przyda się w drodze." Kiedy go rano przyprowadził profesor, dzierżył zawinięty w gazecie łomeć chleba z marmoladą, którego również nie dojadł przy śniadaniu profesorskim.

Ojciec Władzia już chodzi. Wezwany, wybiegł z namiotu szpitalnego, chwycił chłopaka w ramiona.

—Synu mój, synu.—Całował go po rękach.—Że cię oczy moje widzą! A matka? A Józio? A Stasio? Boże! I ta roczna Marysia!?

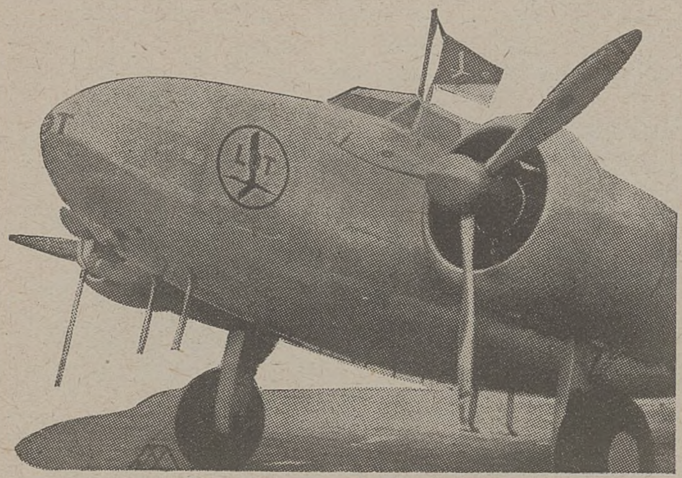
Bo Władzio Szczapek, podczas gdy mu obficie lały się łzy z oczu, mówił przez nie spokojnie swoim równym, zlekka schrypłym głosem: co było.

Po paru godzinach wróciliśmy do nich. Siedzieli na łóżkach szpitalnych otoczeni przez innych chorych. Mówili ciężko, miarowo, nie śpieszący—oni, żołnierze, ojcowie, chłopi, robotnicy i dziesięcioletni Władzio z drugiej chałupy we wsi pod Sokalem, teraz w czwartej kompanii junackiej w Ziemi Świętej.

MELCHIOR WAŃKOWICZ

Z życia obozów

Z "Lotu" na lot bojowy



Rozwój polskiego lotnictwa komunikacyjnego jaki obserwowaliśmy przed wojną, świadczył, że Polacy są nie tylko doskonałymi lotnikami, ale również wskazywał na nasze zdolności organizacyjne i umiejętności techniczne w dziedzinie lotnictwa.

Nasza młoda komunikacja lotnicza miała świetną opinię i stała na bardzo wysokim poziomie. Od zimnych jezior Finlandii, poprzez równiny Polski, góry Bałkanów, morze Egejskie aż do Palestyny, polskie samoloty przewoziły pasażerów i pocztę, przelatując dziennie łącznie około 20.000 kilometrów. Najdłuższa, północno-południowa magistrala lotnicza w Europie, wynosząca około 4.500 kilometrów, łącząca Helsinki przez Tallinn, Rygę, Warszawę, Ateny, Palestynę z Beyrutem, eksploatowana była przez Polskie Linie Lotnicze "Lot."

Możliwości rozwojowe, jakie stały przed naszym lotnictwem komunikacyjnym były olbrzymie. W przewidywaniu tego rozwoju szkolono liczne kadry nowych pracowników: pilotów, radiooperatorów, obsługę techniczną, służbę ruchową i eksploatacyjną.

Wielki zapał cechował pracowników polskiego lotnictwa komunikacyjnego, lecz nie tylko zapał był czynnikiem, który doprowadził go do takiego znaczenia. Wytrwała i systematyczna praca, fachowość i umiejętności organizacyjne, w dużym stopniu przyczyniły się do tego.

Wybuch wojny polsko-niemieckiej przerwał rozwój naszego lotnictwa komunikacyjnego, ale go nie zniszczył. Zadania, jakie mu zostały nakreślone na wypadek wojny byłyby wypełnione w całości, gdyby nie nieszczęśliwy przebieg kampanii polskiej.

W chwili załamania się Polski, sprawnie wyewakuowano cały personel fachowy i majątek wartości około 11 milionów złotych. Wszystkie samoloty znalazły się poza granicami Kraju, kilka z nich nawet dotarło do Wielkiej Brytanii. Większość sprzętu została zasekwestrowana przez władze rumuńskie, pretensje jednak z tytułu nieprawnego sekwestru rumuńskiego zostały prawnie i urzędowo zabezpieczone.

Prawdziwy jednak kapitał naszego lotnictwa komunikacyjnego, t.j. kilkuset wysoko kwalifikowanych pracowników został utrzymany i znajduje się bądź w polskich bojowych jednostkach lotniczych, bądź też pracuje w tej najważniejszej obecnie dziedzinie brytyjskiego przemysłu wojennego, jakim jest przemysł lotniczy.

Zamiarem pracowników polskiego lotnictwa komunikacyjnego było sformowanie osobnej eskadry bojowej złożonej wyłącznie z pracowników "Lotu," stworzenie tradycji bojowej tej instytucji. Zamierzenie to jednak nie doszło do skutku z powodu specyficznej organizacji lotnictwa brytyjskiego. Wobec tego cały personel latający i młodzież "lotowska" t.zn. uczniowie szkoły technicznej prowadzonej przez "Lot" zasililiła myśliwskie i bombowe eskadry bojowe. Kilku poległo już w walce z wrogiem lub zaginęło bez wieści, wielu odznaczonych jest najwyższymi polskimi i angielskimi odznaczeniami bojowymi.

Starszy, fachowy personel techniczny, zatrudniony w przemyśle brytyjskim, stanowi największą polską grupę techniczną a pracując przy montażu samolotów amerykańskich, jest niezwykle przez Brytyjczyków ceniony.

Niektórzy, popularni już w kraju przed wojną piloci "Lotu," znani "pożeracze kilometrów," którzy mieli w chwili wybuchu wojny po milionie a nawet półtora miliona kilometrów w powietrzu, pełnią dziś bardzo ważną służbę jako "*ferry-piloci*," przeprowadzając samoloty ze Stanów Zjednoczonych do Wielkiej Brytanii. Ich wielkie doświadczenie, fachowość i wysokie kwalifikacje czynią z nich niezastąpionych ludzi. Jeden z młodszych pilotów "Lotu" odznaczający się szczególnym temperamentem bojowym jest znanym myśliwcem nocnym i ma już "na rozkładzie" kilka samolotów niemieckich.

Tak więc dobre imię polskiego lotnictwa komunikacyjnego utrwalane jest dalej przez ofiarną służbę jego pracowników.

Na odbytym ostatnio w Wielkiej Brytanii zjeździe koleżeńskim pracowników polskiego lotnictwa komunikacyjnego, błękitnie było od mundurów lotniczych. Niestety wielu nie zjawiło się na to spotkanie, bo złożyli już swe życie dla wielkiego celu. Zebrani oddali hołd Ich pamięci przez powstanie i chwilę milczenia.

Zjazd starej braci "lotowskiej" nie tylko potwierdził więzy koleżeństwa, ale i silne poczucie jedności organizacyjnej. Zachowanie tej jedności jest bardzo ważne, bo przecież ci właśnie ludzie będą odbudowywać polskie lotnictwo komunikacyjne. W celu ułatwienia władzom państwowym pracy w tym względzie stworzono "zrzeszenie pracowników polskiego lotnictwa komunikacyjnego."

Zadanie odbudowy naszej komunikacji powietrznej zostanie podjęte natychmiast po wojnie. Już obecnie władze państwowe pracują nad tymi zagadnieniami całą parą. Olbrzymie wysiłki tej wojny w dziedzinie lotnictwa wojskowego, przyczynią się niewątpliwie do ogromnego postępu w dziedzinie lotnictwa komunikacyjnego, które ma przed sobą wielkie widoki rozwoju. Dziesiątki nowych fabryk będą produkowały po wojnie samoloty, tym razem dla celów pokojowych. Wielu pilotów, techników, radiooperatorów, członkowie obsługi ziemnej, znajdzie zatrudnienie w lotnictwie komunikacyjnym. Ażeby ustalić sobie pogląd na powojenną przyszłość lotnictwa komunikacyjnego, wystarczy przypomnieć niedawną przeszłość, bezpośrednio z przed wojny, kiedy to przelot przez Atlantyk uważany był jeszcze za wielkie wydarzenie, a dzisiaj już codziennie dziesiątki a nawet setki samolotów odbywa tę drogę bez wypadku.

Wspaniały i bohaterski udział Polaków w lotnictwie obecnej wojny będzie najlepszym upoważnieniem dla Polski do zajęcia odpowiedniego miejsca w powojennej, międzynarodowej komunikacji lotniczej. Nowe cele, które nakreśliło sobie nasze lotnictwo komunikacyjne w dziesięcioleciu swojej działalności, w roku 1939, zostaną osiągnięte. Polska żegluga powietrzna stanie się międzykontynentalna i transoceaniczna i będzie potężnym czynnikiem naszej odrodzonej gospodarki pokojowej i ekspansji zamorskiej. Wszędzie tam, gdzie w wojnie obecnej zażeglowały skrzydła polskiego lotnictwa bojowego, będzie miało prawo znaleźć się po wojnie polskie lotnictwo komunikacyjne.

MIECZYSŁAW PRZECZOWSKI

Burek — przyjaciel dwu kompanji



Od samego rana w kompanii panował ruch nadzwyczajny. Żołnierze jedli w pośpiechu śniadanie, niektórzy przeczyszczali broń, inni znów oddani do dyspozycji podoficera broni znosili figury i amunicję na auta ciężarowe. Wszystko to wskazywało, że nadszedł wielki dzień kompanii. Odbędziemy dziś ostre strzelanie w natarciu, przy udziale artylerii, czołgów a może nawet lotnictwa.

Wreszcie zbiórka zarządzona, kapitan przyjmuje raport, ładujemy się na auta i jedziemy na poligon. Po kilkuminutowej jeździe jesteśmy na miejscu. Kompania ustawia się w dwuszeregu. Dowódca pyta się: —"Kto na ochotnika na ubezpieczenie, wystąp." Nikt nie wystąpił.—"Wobec tego do trzynastu odlicz." I chciał pech, że byłem trzynastym /a zawsze pilnowałem się, znając nawyk kapitana/. Nie pozwalają mi się długo namyślać nad wpływem trzynastki na życie ludzkie, gdyż kierownik strzelania podaje mi już miejsce zaciągnięcia ubezpieczenia, no i obowiązki.

W dziesięć minut później stałem samotny na typowym szkockim pagórku pokrytym wrzosem, na którym spędzę według wszelkich rachunków prawdopodobieństwa, najmiej cztery długie godziny, gdy koledzy są na prawdziwej wojnie z czołgami, lotnictwem i innymi dziwami XX-go wieku. Gdy sobie uprzytomniłem moje perspektywy na najbliższych parę godzin, zapałałem straszliwą niechęcią do wszystkich matematyków w ogóle, a do tego, co wymyślił liczbę trzynaście, w szczególności. Ale nie wiadomo, czy z powodu zupełnie zrozumiałego zdenerwowania, czy też że byłem wtedy jeszcze przed kursem gimnazjalnym, na który fatum miało mnie zapędzić, w każdym bądź razie nie mogłem sobie tego nieszczęśliwca przypomnieć. Mimo to życzyłem mu od czasu do czasu w języku wojskowym, aby . . .

Właśnie byłem w trakcie wymyślania nowej dlań męki, gdy wiatr przyniósł odgłos czegoś, co było podobne do jęku ludzkiego. Gdy pomyślałem sobie, że może to już moje życzenia odniosły skutek, zimne krople potu wystąpiły mi na czoło. Gdy ten cichy jęk nie ustawał, ale nawet co raz wyraźniej rozróżnić można było cichy skowyt psa, strach mnie trochę odszedł. Jeśli tylko coś ziemskiego, to nie ma się czego bać. Począłem uważniej nadsłuchiwać, skąd ten nieustający skowyt pochodzi.

Poszedłem w tym kierunku i w odległości około 200 metrów od mego posterunku zauważyłem psa. Właśnie on tak żałośnie skowyczał. Leżał nieruchomo w kałuży zaskrzepłej krwi i tylko wodził za mną oczami. Po dokładniejszym oglądnięciu zauważyłem, że ta kałuża krwi powstała z rany przechodzącej na wylot przez obydwa tylne uda. Biedny pies, po otrzymaniu postrzału lub raczej rekoszetu, czołgał się jeszcze na samych przednich łapach, ale z upływu krwi omdlał i tak leżał już najmniej jedną dobę, gdyż ostatni raz Szkoci z pobliskiego miasteczka strzelali poprzedniego dnia rano.

Nalałem biednemu zwierzęciu trochę wody z manierki do menażki. Wychłeptał ją łapczywie . Co do opatrzenia jego rany nie mogłem prawie niczego przedsięwziąć do końca ćwiczeń. Tymczasem położyłem go na pelerynce i dałem mu kawałek czekolady, za którą on mi ładnie ślipiętami podziękował.

Od tej chwili straszliwie polubiłem tego psa. Chciałem mu jakoś ulżyć, ale niestety nie miałem już ani wody ani szmat. Zdala słychać było strzały, krzyki, warkot motorów—natarcie całą parą. Godziny straszliwie mi się dłużyły, gdy patrzałem na męki biednego stworzenia. Początkowo wodził za mną oczyma, a później zamknął je i tylko po lekkim falowaniu brzucha widziałem, że jeszcze oddycha.

Wreszcie usłyszałem upragnioną syrenę oznaczającą koniec ćwiczeń. Delikatnie poniosłem go na pelerynce na miejsce zbiórki. Wzbudził litość i zainteresowanie wszystkich. Jeden podchorąży, który studiował weterynarię, natychmiast opatrzył biedną psinę, ale nie wróżył mu więcej nad 24 godziny życia.

Auto, na którym leżał Burek /tak go już kompania nazwała/ jechało na specjalny rozkaz dowódcy bardzo wolno . . . Gdyśmy przyjechali do miasta, zastanowiliśmy się nad tym, co zrobić z nabytkiem i postanowiliśmy go zatrzymać na kwaterach. Jeden z żołnierzy przyrzekł sprowadzić do Burka profesora weterynarii, którego znał dobrze z Towarzystwa Polsko-Szkockiego. I rzeczywiście, w niecałą godzinę, profesor przybył do nas i zbadał Burka. Nie mógł nas upewnić co do losów biedaka, lecz uważał, że powinien się z tego wygrzebać, no i pochwalił naszego podchorążego za wspaniałe opatrzenie rany. Przy odejściu prosił, by go zawiadamiać o stanie zdrowia psa i przyrzekł w razie czegoś zawsze z chęcią nam pomóc.

Upłynęło sześć tygodni od owego dnia. Burek wałęsa się już po wszystkich kątach kwatery. Zawdzięcza on swe życie podchorążemu, który z całym zapałem poświęcił się pracy nad przywróceniem go do zdrowia. Każdy żołnierz kompanii uważał za swój obowiązek przynieść mu jakiś smakołyk. Burek stał się ulubieńcem kompanii. Powoli Burek zaczął nas rozumieć, gdyśmy mówili do niego po polsku. /Podobno pomogła mu wybitnie w nauce naszego trudnego języka suczka, która od dawna była u nas w kompanii./

Siły wracały Burkowi i dopiero teraz, gdy hasał po podwórku, zauważyliśmy jaki piękny pies był z niego. Ale im był zdrowszy, tym był smutniejszy. Głównym tematem rozmów w kompanii było: czemu Burek jest taki smutny? Pewnego wieczora Burek z jakąś nadzwyczajną żałością w ślipiach żegnał się i lizał wszystkich na dobranoc, z cicha i smutnie poszczekując. Z rana Burka nie było na legowisku. Żal po nim ogarnął całą kompanię. Jakaś pustka wionęła od podwórca, gdy brakło Burka, by wchodzącego powitał. Wielu zastanawiało się nad psią niewdzięcznością, lecz inni wybaczali mu, utrzymując, że musiał mieć bardzo poważne powody opuszczenia tak wypróbowanych przyjaciół, jakimi byliśmy dla niego.

Minęły dwa miesiące, o Burku prawie już zapomniano. Tylko czasem przy szklaneczce piwa, gdy mówiono o braku wdzięczności u ludzi, dopowiadano: no wcale nie dziw, jak już nawet u psów nie ma ani krzty wdzięczności.

Pewnego skwarnego popołudnia stałem z kolegami przed naszym budynkiem, gdy jak z podziemi wyskoczył Burek, zaczął wszystkich lizać i wesoło poszczekiwać. W chwilę po nim podeszli dwaj oficerowie angielscy, którzy się zapytali, czy my pielęgnowaliśmy psa; gdyśmy odpowiedzieli potakująco, uścisnęli nam wszystkim ręce. Widzieliśmy łzy w ich oczach. Poprosiliśmy ich do świetlicy kompanijnej, gdzie przy akompaniamencie wesołego szczekania Burka opowiedzieliśmy wszystko, co mu się przydarzyło. Oni wzamian uzupełnili nam luki jego historii.

Nazywał się Paddy, był maskotką kompanii. Przebył z nimi kampanię francuską i Dunkierkę. Towarzyszył im ciągle, aż zginął im na strzelnicy /ostatnio widziano go w gonitwie za królikiem/. Mimo całogodzinnych poszukiwań nie znaleźli go. Przez dwa miesiące o Paddym nie było ani widu, ani słuchu. Pewnego poranka wrócił straszliwie zziajany i zmęczony, z wyraźnymi jeszcze śladami po ranie. Radość ich była nie do opisania.

Lecz Paddy ciągle na marszach lub spacerach ciągnął swych panów w pewnym określonym kierunku, chcąc ich koniecznie zmusić do usłuchania jego próśb. Czuli oni, że to wyświetli im tajemnicę nieobecności Paddy'ego i dali się przez niego prowadzić. Wesoło merdając ogonem biegł przodem, całych dwanaście kilometrów aż do naszego miasta. Zrozumieli oni, że Paddy chciał zapoznać swych panów ze swymi wybawcami. Podziękowaniom tych oficerów za uratowanie psa nie było końca, wreszcie prosili, żeby jak najwięcej żołnierzy z naszej kompanii przyjechało na dzień lub dwa do nich do obozu, aby żołnierze szkoccy mogli okazać swą wdzięczność i zadzierzgnąć jakieś bardziej serdeczne stosunki między dwiema kompaniami.

Skorzystaliśmy z zaproszenia. Wkrótce nie było tygodnia, żeby kilku miłych żołnierzy szkockich nie odwiedziło naszej kompanii, a kilku polskich żołnierzy nie odwiedziło ich obozu. Burek /Szkoci przyjęli to imię na znak wdzięczności wobec nas/ co tygodnia zmieniał panów i był z tego rozwiązania sprawy bardzo zadowolony.

Dzięki temu psu każdemu z nas przybyło 150 wiernych i serdecznych przyjaciół. Przyjaciele ci zaczęli się na gwałt uczyć polskiego, aby Burek nie zaznał komplikacji językowych, no i my też w czasie rozmowy z nimi. Ogarnęła ich polonomania i uczyli się od nas wszystkiego co możliwe o Polsce. Sielanka ta trwała przeszło sześć miesięcy a przyjaźń nasza zamieniła się w trwałą i owocną współpracę. Owocem tego były wspólne koncerty i odczyty.

Pewnego dnia przyjechało kilku zasmuconych oficerów i szeregowych z naszej siostrzanej kompanii. Okazało się, że wyjeżdżają do Libii i przyjechali się z nami oficjalnie pożegnać. Pożegnanie było krótkie, po wojskowemu, ale wielu z nas miało łzy w oczach. Najdłużej oczywiście żegnał się nasz podchorąży z Burkiem, pierwszym w jego praktyce pacjentem.

Obecnie kompania otrzymuje regularnie co tygodnia "airgraph" z Libii, który odczytuje się przed frontem. Co tygodnia męczą się w świetlicy najlepsi "Anglicy" kompanii nad napisaniem odpowiedzi do przyjaciół w Pustyni Zachodniej.

I tak usnuła się jeszcze jedna mocna i trwała nić przyjaźni i wieczystego braterstwa polsko-szkockiego. Z nici takich utkana została tkanina trwałych stosunków obydwu narodów.

TADEUSZ KWIECIŃSKI

Polacy przebywający w Teheranie

Ogłaszamy dalszy ciąg /por .nr. 30 i 31 "Polski Walczącej" z b.r./ kompletnego wykazu nazwisk osób cywilnych ewakuowanych z ZSRR do Iranu. Data i miejscowość podane przy nazwisku oznaczają i miejsce urodzenia. Dalsze wykazy będą ogłaszane niezwłocznie w miarę otrzymywania danych z Teheranu.

Wszyscy, którzy w tych wykazach znajdą nazwiska osób znajomych proszeni są o podawanie do P.C.K. adresów najbliższych krewnych tych osób, aby ułatwić P.C.K. przekazywanie wiadomości o pobycie rodzin w Iranie.

Do osób przebywających w Persji można przesyłać listy i telegramy normalną pocztą adresując: Polish Red Cross, Hotel Ferdousy Teheran, Iran, względnie na adres telegraficzny Polredcross, Teheran, Iran. Pozatym przez P.C.K. można przesyłać krótkie listy pisane na papierze lotniczym.

867. **Bujakowska** Feliksa z d. Gasińska, 9.6.98. Warszawa.
868. **Bujakowski** Henryk, 22.2.29. Rokitnianka.
869. **Bujakowski** Feliks, 6.11.32. Rokitnianka.
870. **Bujakowski** Stanisław, 7.12.30. Rokitnianka.
871. **Bujkiewicz** Aleksandra, 20.9.23. Świecice.
872. **Bujkiewicz** Michał, 20.5.90. Świecice.
873. **Bujkiewicz** Zena, 4 lata, zmarła 9.4.42.
874. **Bujnowska** Rozalia z d. Asutowicz, 5.3.18. Czarnobyle Wilno, wdowa po kapralu.
875. **Bujwid-Radziłłowicz** Kazimierz-Piotr, 8.7.74. Kirsanow Rosja.
876. **Bujwid-Radziłłowicz** Anna z d. Juszczewska, 19.4.03. Walciszów Brasław.
877. **Bukojemska** Maria Danuta, 1.2.22. Warszawa.
878. **Bukoto** Józef, 6.4.94. Kurłowicze Postawy, rolnik.
879. **Bukowska** Jadwiga Maria z d. Slupień, 9.11.11. Hlibow Skałat, nauczycielka.
880. **Bukowski** Lubomir, 25.9.32. Polesie Święciany.
881. **Bulas** Maria z d. Duda, 8.12.86. Siemiechów Tarnów.
882. **Bulat** Maria, 15.8.25. Kraków.
883. **Bura** Maria, 10.5.29. Zapurwie Grodno.
884. **Bura** Stanisława, 25.12.32. Zapurwie Grodno.
885. **Buraczewska** Helena z d. Dąbrowska, 28.7.93. Podebrzezie.
886. **Buraczewski** Franciszek, 8.9.81. Zimodry, gajowy.
887. **Buraczyńska** Maria z d. Kulasiewicz, 7.4.07. Berezno Kostopol, rolniczka.
888. **Burak** Józef, sierociniec.
889. **Burakowska** Apolonia z d. Wojtczyk, 19.1.05. Łódź, żona chorążego.
890. **Bura** Paulina z d. Kisiel, 28.6.02. Zapurwia Grodno, żona gajowego.
891. **Burczak** Józefa z d. Rutkowska, 19.3.06. Zagłusze Poleskie.
892. **Burczy** Aniela z d. Piwoda, 13.5.13. Ostrów Przeworsk.
893. **Burczy** Edward, 3.7.36. Książe.
894. **Burczy** Genowefa, 8.12.21. Ostrowek.
895. **Burczy** Stanisław, 27.3.23. Rozwinnica.
896. **Burda** Janina z d. Barowicz, 25.9.93. Rzeszów.
897. **Burda** Zofia Ludmiła, 14.5. Przeworsk.
898. **Burdanowicz** Katarzyna z d. Dudek, 1892. Kaziarnia Nosko.
899. **Burdza** Maria, 1.9.24. Szczenintyn Włodzimierz.
900. **Burghard** Cecylia z d. Witwicka, 9.11.04. Podwołoczyska, urz. poczt.
901. **Burian** Irena, 1.1.24. Dolina Stanisławów.
902. **Burian** Leokadia, 51 lat, zmarła 26.4.42.
903. **Burlikowska** Anna z d. Gerlach, 18.5.95. Jasienica Lwów.
904. **Burlikowska** Elżbieta, 6.8.26. Podkamień.
905. **Burlikowska** Stanisława, 4.9.24. Podkamień.
906. **Burmicz** Helena z d. Lechowska, 6.11.00. Łuck, krawczyni.
907. **Burmicz** Helena, 10.5.31. Łosiatyn.
908. **Burmicz** Józef, 6.12.37. Łosiatyn.
909. **Buro** Janina, 10.8.27. Rudniki.
910. **Buro** Maria, 10.5.32. Rudniki.
911. **Bursakowska** Walentyna, 10.2.96. Zabłonie Mohilów.
912. **Busz** Piotr, 15.6.81. Zalesie, giser.
913. **Bursztein** Jakób, 1.7.20. Siemiatycze, Bielsk, subiekt.
914. **Bursztyn** Jakób, 24.4.20. Sosnowiec, ślusarz.
915. **Burtniak** Teodor, 2.3.13. Iwanków Borszczów, masarz.
916. **Bury** Józef, 12.3.85. Chołosków Stanisławów, wiertacz.
917. **Burzyńska** Tekla z d. Skakun, 15.6.01. Czabarówka, rolniczka.
918. **Burzyński** Jan, 8.2.33. Czabarówka.
919. **Burzyński** Kazimierz, 7.9.35. Czabarówska.
920. **Butz** Stanisław, 25.7.37. Włodzimierz.
921. **Buczkowska** Jadwiga z d. Czanowicz, 27.5.11. Łuniniec, freblanka.
922. **Byk** Izabela, 19.10.28. Zarebie.
923. **Byk** Józef, 10.2.03. Niedzieliska, Zamość.
924. **Byk** Józef, syn Józefa, 8.7.32. Niedzieliska, Zamość.
925. **Byk** Zdzisław, 23.12.32. Zarebie.
926. **Byk** Zofia, z d. Zgnielec, 8.5.96. Niedzieliska, Lublin, rolniczka.
927. **Byk** Zofia z d. Szywala, 1.4.10. Tarnów.
928. **Byrska** Antonina, 18.2.27. Poniatówka.
929. **Byrska** Natalia z d. Świątek, 14.2.00. Modliborzyce, Janów, krawcowa.
930. **Bystryk** Adela z d. Grześlo, 11.12.07. Siedliska, Stanisławów.
931. **Bystryk** Henryka, 11.11.27. Ostoja.
932. **Bystryk** Krystyna, 29.3.38. Ostoja.
933. **Bystryk** Mieczysław, 2.2.96. Bednarówka, rolnik.
934. **Bzdega** Stanisława, 15.3.22. Antos Brody.
935. **Bzdega** Leona z d. Koryl, 14.2.20. Przybyszówka, Rzeszów.
936. **Cabut** Helena, 10.3.37. Jazłowce.
937. **Cabut** Maria, 16.1.00. Zinkow.
938. **Cabut** Stefan,——35.
939. **Caliga** Paulina z d. Pawłowska, 17.6.76. Lwów, Palestyna na P.S.K.
940. **Calka** Petronela z d. Mazur, 29.6.00. Bednarówka, Nadwórna, żona osadnika wojskowego.
941. **Cap** Józefa, 10.4.23. Sznyrów Brody.
942. **Cap** Stanisława, 21.3.25. Sznyrów Brody.
943. **Cebula** Helena, 17 lat, zmarła 28.4.42.
944. **Cederbaum** Izrael, 1.10.04. Warszawa, ekonomista.
945. **Cegłowska** Alina, 19.3.22. Gorszków, ekspedientka.
946. **Cegłowska** Krystyna, 1.1.25. Ulanówka.
947. **Cegłowska** Rozalia z d. Wrońska, 25.6.96. Gorszków.
948. **Cejer** Helena, 31.1.22. Wolental Pomorze.
949. **Celejewska** Katarzyna z d. Zelechow, 25.2.95. Żelechow.
950. **Celińska** Leokadia, 29.1.28. Łosiatyn.
951. **Cepek** Tadeusz, 26.2.31. Tulatyn Pińsk.
952. **Cepel** Franciszka z d. Węgrzenowicz, 4.4.06. Wiśniowczyk.
953. **Cetnarowicz** Zygmunt, 27.4.27. Lwów.
954. **Chabowska** Jadwiga z d. Sokolewicz, 6.9.05. Warszawa.
955. **Chadam** Stanisława, 10.2.24. Baworowszczyzna.
956. **Chamiec** Irena z d. Wróblewska, 11.7.21. Nowogródek, żona kupca.
957. **Chałubińska** Janina, 23.3.16. Łódź, żona plutonowego.
958. **Chamerski** Bolesław, 24.3.27. Glanka Ilża.
959. **Chańska** Zofia, zmarła 21.4.42.
960. **Charliński** Edmund, 1.12.28. Czarna Wieś, Białystok.
961. **Charlińska** Eugenia z d. Piechowska, 1.3.04. Moskwa.
962. **Charlińska** Halina, 14.10.24. Czarna Wieś, Białystok.
963. **Charosiński** Janusz, 1927, szpital.
964. **Charytonowicz** Jan, 24.6.80. Matusze Nieśwież.
965. **Charytonowicz** Józefa z d. Szuszczewicz, 19.3.91. Horka.
966. **Charytonowicz** Małgorzata, 24.8.31. Horka Nowogródek.
967. **Charytonowicz** Maria, 19.12.28. Horka Nowogródek.
968. **Chaskielewicz** Diana z d. Szymenberg, 13.11.12. Warszawa.
969. **Chatys** Petronela z d. Perek, 29.5.92. Miechów Kielce.
970. **Chazik** Stefania z d. Przyboż, 20.5.15. Gwoźnica Górna, Rzeszów.
971. **Chazik** Zofia, 15.5.36. Sienkiewiczówka.
972. **Chadzyńska** Halina, 19.7.23. Bierniczynki, Oszmiana.
973. **Chełchowska** Felicja z d. Niesyn, 15.8.06. Ugły Nowogródek.
974. **Chełchowska** Stanisława, 25.8.30. Adampol Nowogródek.
975. **Chełchowski** Bolesław, 10.6.26. Adampol.
976. **Chełstowska** Jadwiga, 19.12.27. Hotylów Biała Podlaska.
977. **Chełstowska** Krystyna, 16.4.37. Łachwa Łuniniec.
978. **Chełstowski** Leonard, 16.9.34. Łachwa Łuniniec.
979. **Chełstowska** Maria z d. Gryniewicz, 2.2.10. Pińsk, pielęgniarka.
980. **Chełstowska** Marianna z d. Wrzosek, 12.3.86. Łyniew.
981. **Chibowska** Janina, 28.2.37. Zwody Małe Brześć n/Bugiem.
982. **Chibowska** Leokadia z d. Farycka, 23.6.03. Goniac Białystok.
983. **Chilkiewicz** Irena, 1.9.36. Krystynów Polesie.
984. **Chilkiewicz** Maria z d. Dąbrowska, 8.1.15. Białe, jezioro.
985. **Chinieluk** Jan, 19.1.95. Łuczyce, Sokal, rolnik.
986. **Chimeluk** Katarzyna, 19.3.00. Przysietnica Lwów.
987. **Chirowska** Anna z d. Perzyńska, 12.6.12. Wyszyca, Chodzież, krawczyni, żona sierż.
988. **Chirowski** Ryszard, 1.4.37. Tudiów, syn sierż.
989. **Chlebińska** Janina, 22.12.05. Warszawa, urzęd. P.K.P., żona inż.
990. **Chłon** Edward, 11.9.27. Wawelówka Skałat.
991. **Chłon** Genowefa, 4.3.25. Wawelówka.
992. **Chłon** Katarzyna, 9.11.37. Wawelówka.
993. **Chłon** Kazimierz, 1.10.29. Wawelówka.
994. **Chłon** Stanisław, 15.7.95. Pasieka, rolnik.
995. **Chłon** Zofia, 13.11.36. Wawelówka.
996. **Chłon** Władysław, 15.8.30. Wawelówka.
998. **Chłopicka** Anastazja, 17.5.22. Stróżowa Góra.
999. **Chłopicka** Anna, 7.8.28. Stróżowa Góra.
1000. **Chłopicka** Bronisława z d. Kołodzińska, 30.6.01. Zubierowo Nowogródek.
1001. **Chłopicka** Zenobia, 29.8.26. Stróżowa Góra.
10002. **Chłopicka** Maria, 30.4.23. Stróżowa Góra.
1003. **Chłopicki** Antoni, 19.12.31. Stróżowa Góra.
1004. **Chłopicki** Michał, 8.7.34. Stróżowa Góra.
1005. **Chłopicki** Tadeusz, 29.8.39. Stróżowa Góra.
1006. **Chłopicki** Włodzimierz, 15.7.85. Horodziej Nowogródek.
1007. **Chlus** Maria, 24.12.29. Rytowicze Polesie.
1008. **Chlus** Ksenia z d. Skolblów, 12.12.87. Rytowicze Polesie.
1009. **Chlus** Olga, 14.1.25. Rytowicze Pol.
1010. **Chlus** Szymon, 1.5.93. Rytowicze Pol.
1011. **Chmal** Józefa z d. Goworowska, 19.9.91. Niemojewice Łódź.
1012. **Chmal** Maria, 15.8.31. Jamworowa.
1013. **Chmara** Józef, 25.11.98. Waliboki Stołpce.
1014. **Chmara** Józefa z d. Hodyl, .3.02. Waliboki.
1015. **Chmara** Stefania, 27.11.32. Kamionka.
1016. **Chmiel** Józefa, 13.3.84. Klimentów Jędrzejów, zmarła 9.V.42.
1017. **Chmielecka** Krystyna, 14.4.28. Melerowie Gostynin.
1018. **Chmielecka** Maria z d. Szymczak, 16.7.02. Pierszew.
1019. **Chmielecki** Władysław, 16.7.94. Pierszew.
1020. **Chmielewska** Albina z d. Mandziuk, 8.1.04. Torskie, kucharka.
1021. **Chmielewska** Anna, 31.12.22. Wilno.
1022. **Chmielewska** Elżbieta z d. Stępik, 9.4.04. Dziewięcice.
1023. **Chmielewska** Helena, 21.11.18. Piotrków.
1024. **Chmielinska** Emilia, 14.4.34. Kostopol.
1025. **Chmielinska** Leontyna, 31.12.03. Ostróg.
1026. **Chmielinska** Luczna z d. Jaworska, 20.5.03. Kawieczy, krawcowa.
1027. **Chmielinska** Zofia, 21.9.26. Równe.
1028. **Chmielinska** Zofia, 14.6.30. Kostopol.
1029. **Chmielowiec** Stanisława z d. Woźniak, 20.4.16. Konina Limanowa, rolniczka.
1030. **Chmielowska** Kazimiera z d. Wierzbicka, 24.2.97. Warszawa.
1031. **Chmielowska** Wanda, 22.4.24. Hajnówka Bielsk.
1032. **Chmura** Aleksandra Teofila, 30.9.05. Ulanów Nisko.
1033. **Chochel** Helena z d. Nowakowska, 9.3.08. Bytom.
1034. **Choder** Anna, 6.7.40. Równe.
1035. **Choder** Dawid, 1.2.09. Równe.
1036. **Choder** Klara z d. Silberg, 4.12.12. Kalisz, nauczycielka.
1037. **Choderek** Genowefa, 5.6.35. Strzelce Wielkie.
1038. **Choderek** Julia z d. Kuklów, 18.9.01. Żytyń Równe.
1039. **Choderek** Zofia, 18.8.27. Strzelce Wielkie.
1040. **Chodkowska** Anna z d. Woronowicz, 8.9.09. Mir Stołpce.
1041. **Chodynicka** Paulina, 56 lat, zmarła 4.V.42.
1042. **Chodos** Fajwel, 3.1.14. Kobylnik Postawy.
1043. **Chodzińska** Nadzieja z d. Kramiewicz, 20.4.96. Kurzaniec Wilno.
1044. **Chojnacka** Helena, 8.11.25. Szreniawa Michów.
1045. **Chojnacka** Irena, 14.7.28. Radziwiłłów.
1046. **Chojnacka** Janina z d. Juszczewska, 19.12.05. Rudnia.
1047. **Chojnacka** Maria, 23.8.28. Lisie Miechów.
1048. **Chojnacka** Stanisława z d. Grójec, 2.5.06. Szreniawa, rolniczka.
1049. **Chojnacki** Julian, 31.7.32. Radziwiłłów.
1050. **Chojnowska** Adela z d. Brzeziak, 15.7.00. Sochlinowo, rolniczka.
1051. **Chojnowska** Jadwiga, 4.1.24. Łochtyno.
1052. **Chojnowska** Zofia, 11.2.28. Łochtyno.
1053. **Chojnowski** Stanisław, 14.2.32. Łochtyno.
1054. **Chomiak** Eleonora z d. Kozłowska, 27.12.15. Wilno, kasjerka.
1055. **Chomicka** Eugenia, 18.4.17. Warszawa.
1056. **Chomicka** Pelagia z d. Galamaga, 17.3.82. Ławrów Wołyń.
1057. **Chomicki** Korneliusz, 14.9.91. Nowosielki, Dubno, gajowy.
1058. **Chomicz** Józef, 5.11.96. Chomicze, rolnik.
1059. **Chońska** Zofia z d. Peretiakowicz, 5.2.85. Wołyń w. Hacie, zmarła 21.4.42.
1060. **Choptij** Anna z d. Tracz, 30.7.04. Iwanowka Tarnopol.
1061. **Choptij** Julia, 11.1.32. Wiktorówka.
1062. **Choptij** Maria z d. Kowalczuk, 12.12.08. Iwanówka Tarnopol.
1063. **Choptij** Maria, 19.3.26. Iwanówka Tarnopol.
1064. **Choptij** Mikołaj, 13.12.05. Iwanówka Tarnopol, rolnik.
1065. **Choptij** Ryszard, 22.11.37. Wiktorówka Trembowla.
1066. **Choptij** Stefania, 20.10.33. Wiktorówka Trembowla.
1067. **Choptij** Władysław, 3.5.33. Wiktorówka Trembowla.
1068. **Chorazewska** Antonina z d. Kowalska, 15.5.09. Woromcha Równe.
1069. **Chorazewska** Halina, 10.2.37. Duża Solpa Równe, zmarła 3.V.42.
1070. **Chorazewska** Maria, 10.4.35. Woronucha, córka gajowego.
1071. **Chorazewska** Tekla z d. Jankowska, 10.12.97. Herobiówka, Równe.
1072. **Chorazewski** Mieczysław, 10 lat, zmarł 6.IV.42.
1073. **Choroszy** Adela z d. Kumiszcze, 4.4.97. Koncinienty, Wilno.
1074. **Choroszy** Wanda, 21.11.22. Koncinienty, Wilno.
1075. **Choroszy** Władysław, 11.1.35. Wielkostracze.
1076. **Choroszy** Władysław, 27.6.91. Bolkówszczyzna, rolnik.
1077. **Chorzempa** Anna, 16.8.22. Waniów Sokal, rolniczka.
1078. **Chorzempa** Wiktoria z d. Franczyk, 6.5.92. Niedzwiedza.
1079. **Choynowski** Mieczysław, 15.5.84. Odessa, inżynier.
1080. **Chramiec** Maria, 22.5.42. Teheran.
1081. **Chramiec** Zofia z d. Rol, 22.4.21. Maruszyn Nowy Targ, rolniczka.
1082. **Chrystman** Wanda z d. Bogocka, 18.4.06. Lwów, urzędn. pryw.
1083. **Chromińska** Stanisława z d. Maciejewska, 4.6.17. Stara Wróblina, Łuków, praczka.
1084. **Chromiński** Stanisław, 10.12.12. Kosiorki Siedlce, murarz.
1085. **Chromy** Helena, 2.3.25. Starozow.
1086. **Chromy** Zofia z d. Komorsska, 8.1.98. Holajkowo Podole, siostra med.
1087. **Chruściel** Edward, 4.4.37. Gniewczyna, Przeworsk.
1088. **Chruściel** Joanna, 30.10.26. Gniewczyna, Przeworsk.
1089. **Chruściel** Katarzyna z d. Dalomis, 22.5.05. Gniewczyna, Przeworsk.
1090. **Chruszczewska** Michalina z d. Paszkowska, 11.3.87. Szumsk Krzemieniec, żona gajowego.
1091. **Chudzik** Karolina z d. Walut, 6.8.88. Brzoza Królewska, Łańcut.
1092. **Chudzik** Katarzyna z d. Rajczak, 8.10.20. Trościaniec Wielki, Złoczów.
1093. **Chudzik** Stanisława, 10.3.24. Wola Zarczycka Łańcut.
1094. **Chudzyńska** Genewefa z d. Gnojnicka, 14.12.07. Ejsmonty Grodno.
1095. **Chudzyński** Andrzej, 1.5. roku, zmarł 25.4.42.
1096. **Chudzyński** Bogdan, 2.1.30. Ruszniowo p. Grodno, junak.
1097. **Chura** Eugenia, 7.3.40. Czary Swiordłowsk, córka gajowego.
1098. **Chura** Janina, 10.6.37. Adamówka Sokal.
1099. **Chura** Maria z d. Peniuk, 28.12.13. Parchacz Sokal.
1100. **Churska** Krystyna, 24.5.38. Budki Kostopol.
1101. **Churska** Zofia z d. Hryniewiecka, 23.8.08.
1102. **Chumka** Emilja, 1.1.29. Kościuszków.
1103. **Chwasta** Henryk, 23.4.29. Cieszacin Mały Jarosław.
1104. **Chwasta** Julia z d. Nazimkow, 8.9.96. Cieszacin Mały Jarosław.
1105. **Chwasta** Mieczysław, 23.6.35. Cieszacin Mały Jarosław.
1106. **Chwasta** Stanisław, 18.5.31. Cieszacin Mały Jarosław.
1107. **Chwasta** Tadeusz, 18.5.33. Cieszacin Mały Jarosław.
1108. **Chwicko** Zofia z d. Dzienis, 20.3.91. Białystok.
1109. **Chwieszczenik** Paweł, 18.3.05. Dolina Zarzeczna.
1110. **Chyla** Julian, 1932. Jastrzębica Dubno.
1111. **Chylińska** Barbara, 9.3.28.
1112. **Ciarko** Jakób, 28.12.14. Wilno, drukarz.
1113. **Ciborowska** Anna z d. Dymicka, 15.2.83. Wizna Białystok.
1114. **Ciborowski** Antoni, 15.3. . Cibory Łomża.
1115. **Ciborowski** Józef, 15.2.78. Cibory Łomża.
1116. **Ciborowski** Józef, 1.4.30. Cibory Łomża.
1117. **Cicha** Stefania z d. Kolapac, 24.6.16. Skała Podolska, krawcowa.
1118. **Cichocka** Emilia, 15.8.23. Staszyców.
1119. **Cichocka** Ewa z d. Kurniczuk, 1.3.95. Nowosiółki Wołyń.
1120. **Ciechanowicz** Alfreda, 11.1.33. Redwidowo.
1121. **Ciechanowicz** Irena, 27.2.28. Redwidowo.
1122. **Ciechanowicz** Janina z d. Dzemidowicz, 2.2.05. Skrotoszyzna Stołpce, krawczyni.
1123. **Cieciura** Janina z d. Zdaniuk, 15.1.05. Baranowicze, urzędniczka.
1124. **Cieklińska** Lidia z d. Korpanty, 4.4.06. Tarnów.
1125. **Cieklińska** Zofia, 29.7.31. Zakopane.
1126. **Cieklński** Janusz, 16.9.34. Tarnowskie Góry.
1127. **Cielas** Eugenia, 9.10.40. Sarny Wołyń.
1128. **Cielas** Janina, 15.5.28. Ugły Kostopol.
1129. **Cielsa** Józefa, 15.8.36. Ugły Kostopol.
1130. **Cielas** Maria z d. Leszczyńska, 12.9.12. Katerynówka Kostopol.
1131. **Cielecka** Regina z d. Kucewicz, 1.4.09. Luberciszki Wilno.
1132. **Ciemiewska** Anna, 30.5.17. Wilno.
1133. **Ciemniewska** Emilja z d. Umiastowska, 7.12.97.
1134. **Ciemniewski** Marjan, 6.12.82. Hordyszcze Lublin.
1135. **Cieńska** Jadwiga, 4.3.01. Lwów.
1136. **Ciepławski** Eugeniusz, 12.12.34. Łozki Dzisna.
1137. **Ciepławska** Jadwiga z d. Łopacka, 24.7.08. Łozki Dzisna.
1138. **Ciepławski** Tadeusz, 14.4.36. Łozki Dzisna.
1139. **Cierpicka** Julia z d. Lewandowska, 18.5.03. W-wa.
1140. **Ciesielska** Urszula, 19.8.18. Chełmno.
1141. **Cieszyńska** Janina z d. Wituszyńska, 10.3.97. Stanisławów, żona naczelnika.
1142. **Cieślak** Bronisława z d. Kucharska, 23.12.06. Równe, żona st. sierżanta.
1143. **Cieślak** Danuta Teresa, 19.11.29. Kowal.
1144. **Cieślak** Edward, 22.2.31. Dębina Tołsta Skałat.
1145. **Cieślak** Filomena z d. Tomczak, 3.7.03. Łódź.
1146. **Cieślak** Halina Maria, 4.6.34. Lublin.
1147. **Cieślak** Janina, 18.9.18. Krzepacz, głuchoniema.
1148. **Cieślak** Maria z d. Tasiow, 6.12.06. Krzeczowice Przeworsk.
1149. **Cieślak** Mirosława.
1150. **Cieślak** Mozes, 1.4.20. Kraśnik, Lublin.
1151. **Cieślak** Ryszard, 12.5.35. Wysokie.
1152. **Cieślak** Wawrzyniec, 15.8.81. Krzeczowice Przeworsk.
1153. **Cieślicka** Józefa z d. Śmierciak, 16.1.11. Przyszowa Linamonowa.
1154. **Cieślicka** Władysława, 14.9.33. Kadubiska Brody.
1155. **Cieślicki** Stanisław, 17.4.38. Kadubiska Brody.
1156. **Cieślikiewicz** Marjanna z d. Stępień, 15.8.72. Opoczno.
1157. **Cieślikiewicz** Zofia z d. Mozol, 15.3.16. Krutowce.
1158. **Cieślinkiewicz** Danuta, 26.2.32. Wola Korybutowiecka.
1159. **Cieślinkiewicz** Maria, 8.10.24. Wola Korybut.
1160. **Cieślinkiewicz** Maria z d. Polak, 13.11.01. Radom.
1161. **Cieślinkiewicz** Tadeusz, 18.11.27. Wola Korybutowiecka.
1162. **Cieślinkiewicz** Zofia, 14.5.30. Wola Korybutowiecka.
1163. **Cieślińska** Maria z d. Dubicka, 26.12.05. Szemioty Wołożno, krawczyni.
1164. **Cieślińska** Stefania, 26.12.26. Adampol.
1165. **Cieśliński** Czesław, 31.8.31. Adampol.
1166. **Cimerman** Anna z d. Wiacek, 19.4.04. Tarnobrzeg, rolniczka.
1167. **Cimerman** Anna z d. Piechota, 20.7.93. Tuszówskie Ostrowy.
1168. **Cimerman** Maria, 11.10.29. Koralowka Złoczów.
1169. **Cimerman** Piotr, 15.4.83. Ostrowy, rolnik.
1170. **Cimerman** Zuzanna, 15.8.30. Koralówka Złocz.
1171. **Cioma** Maria z d. Libera, 14.7.05. Sarny Wołyń.
1172. **Cipurska** Maria z d. Buzantowicz, 12.8.22. Wilno, ż. ppor. W.P.
1173. **Cizewska** Anna z d. Łotysz, 15.1.94. Łotysze, ż. rolnika.
1174. **Cizewska** Leonora, 10.7.28. Alisiora Dzisna.
1175. **Coller** Stefania z d. Majewska, 14.10.89. Piotrków, krawcowa.
1176. **Cmoch** Apolonia z d. Dutko, 7.1.98. Czortków, krawcowa.
1177. **Cudo** Maria z d. Żołnierczuk, 9.10.19. Wyrow Kamionka Strum.
1178. **Cudzik** Maria z d. Marczuk, 2.2.06. Drohiczyn.
1179. **Cudzik** Wiesława, 18.10.07. Drohiczyn.
1180. **Cukerman** Liliana Jolanta, 11.5.33. Warszawa.
1181. **Cukerman** Lucyna Sabina z d. Aszemil, 8.11.07. Warszawa.
1182. **Cukier** Salomon, 27.2.04. Rymanów, kupiec.
1183. **Cukier** Towia, 10.8.16. Komarów Lubelski.
1184. **Cukierman** Tema z d. Molis, 15.9.09. Warszawa, krawcowa.
1185. **Cuprys** Aniela z d. Stefanowicz, 2.10.94. Łogiszyn, rolniczka.
1186. **Cwalino** Maria z d. Sadowska, 20.3.00. Krasnoleski Kobryń, siostra med.
1187. **Cwiakalska** Zofia z. d. Skup, 10.3.06. Hruszkiew Lublin.
1188. **Cwielag** Jadwiga z d. Bogusz, 24.6.08. Równe.
1189. **Cwielag** Jadwiga z d. Bogusz, 24.6.08. Równe, żona szeregowego.
1190. **Cwielag** Mirosława, 18.8.34. Zdołbunów.
1191. **Cwiklik** Albina, 3.12.30. Malin Wołyń.
1192. **Cwiklik** Wiera z d. Zoltaniuk, 29.6.05. Buderarz.

Szkic sytuacyjny

MARSZ KU ROPIE

Położenie na froncie wschodnim przedstawia się dzisiaj mniej więcej tak, że Timoszenko zdołał zatrzymać Niemców wokoło Cimljanskaja, a nawet przejść tam do przeciw-natarcia, natomiast na froncie kaukaskim nie zahamowano skutecznie Niemców. Znajdują się oni wcale głęboko, skoro mówi się o zdobyciu Proletarskaja. Przebąkuje się również o lądowaniu spadochroniarzy niemieckich naprzeciwko półwyspu Kerczańskiego. Wydaje się, że wysiłek niemiecki na Kaukazie jest bardzo poważny i że tempo pochodu wroga jest nadmiernie szybkie.

Nie wiemy, jak przedstawia się obrona Kaukazu—czy jest ona pomyślana jako *jedna całość z osłoną Wołgi i Stalingradu* czy też raczej dowództwo sowieckie przewiduje rozerwanie się frontów i wytworzenie się *samodzielnego ośrodka obrony na Kaukazie*. Wydaje się, że *Timoszenko zaczyna rzucać w bój rezerwy ludzkie*, które napewno nie są szczupłe. Doniesienia sprawozdawców angielskich z Moskwy mówią, że Stalin coraz bardziej interesuje się sprawą dowództwa ogólnego i że—podobnie jak w okresie krytycznym jesieni ub.r.—bierze w ręce cugle kierowania akcjami wojskowymi.

Niebezpieczeństwa, jakie czyhają na armię sowiecką, są liczne i chociaż straty niemieckie napewno są poważne, to jednak Luftwaffe utrzymuje ciągle przewagę, a jeżeli chodzi o siły pancerne, to Niemcy potrafią przerzucać je tak zręcznie, że tworzą lokalne przewagi tam, gdzie im to jest potrzebne.

Pomimo tego, że armia niemiecka zdąża wyraźnie do rozdzielenia frontów sowieckich i do opanowania ropy kaukaskiej—cele, jakie chce ona osiągnąć są jeszcze bardzo odległe. Obserwatorzy tureccy, jak na to wskazał "*Times*" w depeszy z Ankary /w dniu 31-ego lipca/ są zdania, że jednak "rozkład jazdy" ustalony przez naczelne dowództwo Wehrmachtu *nie został dotrzymany* i że Rzesza nie zakończy swojej ofensywy w terminie przez siebie wyznaczonym.

Sądzić trzeba, że to zdanie obserwatorów tureckich zawiera sporo słuszności. *Uderzenia jakie zadaje armia niemiecka maszynie wojennej Sowietów są poważne, ale nie są ostateczne. Zdolność obrony armii czerwonej nie jest wyczerpana*, rezerwy ludzkie nie przeszły jeszcze w pełni do akcji, zasoby żywności kurczą się wprawdzie, ale wytrzymałość narodu rosyjskiego na głód jest bardzo osobliwa.

OKOPY POD EL ALAMEIN

Po próbach podjętych przez generała Auchinlecka w stosunku do północnego skrzydła armii Rommla, wojska brytyjskie cofnęły się na dawne stanowiska. Stwierdziły one, że utrzymanie nowych pozycyj byłoby niemożliwością, albowiem nieprzyjaciel posiada zbyt wielkie zmasowanie artylerii a zapewne i lotniska, jakie ma w pobliżu frontu są poważnie obsadzone. Obie strony okopały się około El Alamein i znowu mamy *epizod pozycyjny* /nie można mówić o walce pozycyjnej na wielką skalę, albowiem ofensywa może się rozpocząć każdej chwili: obie strony traktują tę przerwę jako zaczerpnięcie oddechu przed akcją zaczepną/.

Doniesienia brytyjskie nie zatajają faktu, że jednakże Rommel zbiera posiłki i że zasila się zarówno morzem, jak powietrzem /pono transportowce niemieckie przewożą oddziały wojsk z Krety/. Kiedy Rommel ruszy—nie wiadomo, ale wydaje się, że posiada on jednak jakąś cichą umowę z von Bockiem. Rommel *nie jest jeszcze gotów* a nie brak głosów, że *nie będzie gotów przed połową września*. Dlatego też pisma brytyjskie wołają, ażeby *uprzedzić* uderzenie Rommla i nie czekać na jego zaczepkę.

Rommel jednak umacnia się poważnie i zakłada wielkie pola minowe. Wydaje się, że pragnie on powtórzyć w Egipcie coś na wzór frontu wschodniego: *na północy* /a więc na szlaku nadmorskim/ trzymać front w defensywie, natomiast przypuścić najbliższy atak *na południu, poza* Quattara Depression. Włoskie wysiłki wokoło Oazy Siwa dowodziłyby, że istotnie państwa osi zamierzają uderzyć jesienią nie na północy, ale na południu.

SPRAWA DRUGIEGO FRONTU

Najpoważniejsze pismo Stanów Zjd. "*New York Times*" w artykule na temat drugiego frontu / dnia 31-ego lipca/ wypowiada się za odroczeniem tego działania aż do chwili, kiedy narodzi się *prawdziwa jedność dowództwa* i kiedy wykluje się *śmiała myśl strategiczna*. "Zagadnienia związane z utworzeniem drugiego frontu—wywodzi "*New York Times*"—są olbrzymie i wątpić należy, ażeby zostały rozwiązane w sposób zadawalający, dopóki W. Brytania i Ameryka nie będą posiadały strategów zajętych *wyłącznie* tą sprawą */full-time strategists/*, strategów pracujących w ramach zjednoczonego dowództwa. Naprzód musi powstać jedność dowództwa w obrębie każdego z narodów sojuszniczych, a potem jedność dowodzenia w państwach alianckich—*działać one muszą jako jedna całość /as a unit/*."

W Anglii zauważać się daje wyraźnie chęć *pohamowania* zbyt porywczych odruchów opinii wołającej o drugi front, ale nieraz nie zdającej sobie sprawy z olbrzymich trudności, na jakie stworzenie tego frontu */a nie dywersji/* napotyka. I tak Lord Teviot, przedstawiciel Izby Lordów, ma zamiar podnieść sprawę wiecu na Trafalgar Square, na którym wołano o najszybsze powołanie do życia takiego frontu. Koła rządowe raczej hamują podobne odruchy, albowiem rozumie się, że opinia publiczna nie może sądzić tych wielu delikatnych spraw, które składają się na dzieło inwazji. Jest to—powtórzmy raz jeszcze—*najtrudniejsza operacja wojenna*.

Wołanie o drugi front jest potrzebne, jako bodziec oraz jako zachęta dla narodów ujarzmionych, ale—jak powiada słusznie dnia 31-ego lipca "*New York Herald Tribune*"—"słowa są cennym uzupełnieniem bomb i kul, ale nie mogą ich zastąpić." Jeden z niedawno przybyłych do Anglii polityków francuskich *p. André Philip* zaznaczył, że w propagandzie drugiego frontu trzeba utrzymać miarę między słowami a ich realizacją.

NIEMCY OBAWIAJĄ SIĘ DRUGIEGO FRONTU

Propaganda niemiecka przeszła na zupełnie inny tor w dniach ostatnich, jeżeli chodzi o drugi front. Do niedawna jeszcze wykpiwała możliwość stworzenia takiego frontu, butnie i szumnie "zapraszała" sojuszników do wejścia na kontynent. Dzisiaj już nie kpi, ale *—ostrzega*. Pisma niemieckie przynoszą zdjęcia fantastycznie wyglądających umocnień wzniesionych przez Niemców na brzegu francuskim, kazamat, o jakich się nie śniło i t.d. Rozgłośnie Rzeszy opowiadają czego się to nie robi na brzegu *od Ankenes aż po Biarritz*. Krótko mówiąc upewnia się ludność Rzeszy, że jej nic nie grozi—z drugiej zaś strony pokazuje się zęby sojusznikom.

Rzesza obawia się nie tylko drugiego frontu, ale obawia się *ruchów*, jakie zaczną się w chwili gdy dojdzie do działań wojennych na Zachodzie Europy. Nic więc dziwnego, że pogotowie wojenne Rzeszy na obszarach okupowanego Zachodu rośnie. We Francji n.p. tworzy się *straż "narodową" niemieckich cywilów*, którzy mieszkają w strefie okupowanej. Każdy cywil niemiecki przechodzi specjalne przeszkolenie w swoim okręgu, a największa szkoła dla takiego pogotowania cywilów niemieckich istnieje w Rheims. Poza tym przez ulice Paryża przepuszcza się czarne oddziały *SS*, ażeby pokazać ludności, że okupant czuwa. Samoloty niemieckie przelatują raz po raz nad miastami okupowanej Francji. Generała *von Rundstaedta* ogłasza się największym "*strategiem defensywnym*," jakiego Rzesza posiada.

Ta zmiana w kursie propagandy niemieckiej jest bardzo znamienna. Dowodzi ona bowiem, że nastroje w Rzeszy nie są najlepsze, skoro trzeba publiczność uspakajać tego rodzaju filmami, zdjęciami i przemówieniami radiowymi jak i to, że stan rzeczy w krajach okupowanych Zachodu musi napędzać Niemcom uczciwego stracha.

JAKIE SĄ SIŁY NIEMIECKIE NA ZACHODZIE?

Nie wiemy jakimi siłami rozporządza Rzesza na zachodzie. Sprawozdawca berliński szwajcarskiego "*Basler National Ztg.*" skłonny jest przypuszczać, że Rzesza ma na Zachodzie 50 do 120 dywizyj, w tym jednostki wysoce zmechanizowane, które można przerzucać z miejsca na miejsce zależnie od potrzeby. Sprawozdawca uważa, że Niemcy obawiają się *spadochroniarzy* sojuszniczych i że liczą się z akcją *partyzancką* na zajętych obszarach. Niemieckie dowództwo naczelne we Francji przygotowało się podobno i na te możliwości.

Te i podobne doniesienia zdają się świadczyć, że pogotowie niemieckie na Zachodzie nie jest do pogardzenia. Wydaje się, że na wypadek lądowania poważnych sił sojuszniczych—i to sił pancernych—opór jaki stawiać będzie maszyna niemiecka na całym pobrzeżu mógłby być znaczny. Nie brak już dzisiaj głosów, *że pochód ku Berlinowi* będzie powolnym marszem, albowiem armia niemiecka, wzmocniona SS, walczyć będzie twardo na wszystkich stanowiskach. Należy liczyć się—powiadają ci obserwatorzy—*ze zdobywaniem* terenu żmudnym i trudnym.

W danej chwili jedno zarysowuje się wcale wyraźnie: *angielskie uderzenie lotnicze rozwinie się, a bombardowanie Rzeszy na jesieni b.r. przybierze wielkie rozmiary. Ucieczka przemysłu niemieckiego z zachodnich połaci Rzeszy do Czechosłowacji, Austrii, Polski a nawet do północnych Włoch, dowodzi, że Niemcy czują czym pachnie najbliższa jesień i zima.*

Ta forma drugiego frontu wydaje się niemal pewna. Mniej pewna ale raczej prawdopodobna wydaje się odpowiedź niemiecka w formie bombardowania ośrodków angielskich. Zmaganie się lotnicze /przy czym przewaga w sile niszczenia byłaby wybitnie po stronie angielskiej/—rysuje się już dzisiaj jako *plan jesieni*.

Londyn, 3 sierpnia 1942.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Pomoc dla Polaków w Rosji: £3,100

LOTNICTWO POLSKIE W ANGLII I SZKOCJI RODAKOM W ROSJI ROK 1942

"Polska Walcząca," Londyn.

Na pomoc Polakom w Rosji złożyli:

Mjr. F.	£1
szereg. Placek	Sh.10
Personel Komendy Szkoły	Sh.15

Załączając Money Order na kwotę £2 sh.5 proszę o przekazanie do P.C.K. na powyższy cel.

Komendant Polskiej Szkoły Pilotażu

UZUPEŁNIAMY PIERWSZĄ OFIARĘ POLAKÓW Z ROSJI DLA POLAKÓW W ROSJI

Paniom Zofii Jelskiej i Zenobii Tyksińskiej pracującym w Domu Wypoczynkowym w P.C.K. w Spott House, serdecznie dziękujemy za troskliwą i serdeczną opiekę i stworzenie prawdziwie domowego polskiego nastroju—przekazując równocześnie 10sh. na Pomoc Polakom w Rosji.

Ludwik Bojczuk, Józef Wieszczek, Szczepko i Tońko

Żołnierze z pododdziałów Batalionu Podhalańskiego w czerwcu i lipcu b.r. złożyli poza normalnym opodatkowaniem się £17 sh.2 d.7 z prośbą o przesłanie tej sumy dla cierpiących Rodaków w Rosji.

Zima zbliża się—potrzeby rosną.

Ks. A.W. Kapelan Baonu

* * *

The enclosed 30/- represents the balance of a subscription /collected on the occasion of the departure of the Polish doctor by the British and Polish patients, remaining after the purchase of farewell gift and is forwarded to you at his special request in aid of your fund for the relief of distressed Poles in Russia.

The patients of Southfield Sanatorium in Edinburgh, Scotland.

* * *

Do Redakcji "Polski Walczącej,"

Załączamy przekaz pieniężny na 15sh. 4d. zebrane w Domu Wypocz. na Pomoc Polakom w Rosji.

Z poważaniem

Z. Jelska /Dom Wypocz. Polsk. Czerw. Krzyża dla Żołnierzy Spott House/

* * *

Sh.14 d.9 zebrane z szatni na zabawie ułańskiej 24 Pułku ułanów w dniu 25 lipca b.r. przez Panią Etkę Jakubowiczową.

* * *

"ŁAŃCUCH OFIAR"

otrzymaliśmy następujące ofiary: 1sh., 10sh., 2sh., 1sh., 5sh. /p. Jaskólska/, 1sh., 1sh.

* * *

Ponadto przekazano na ten cel: płk. dypl. F.M. £8—nieprzyjęte honoraria za prace drukowane w "Polsce Walczącej"; p. Antoni Wójcicki £3, nieprzyjęte honorarium za artykuły w nr. 19 i 30; p. Wiktor Budzyński £3, nieprzyjęte honoraria za artykuły nr. 28 i 30.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £37.18.8 /słownie trzydzieści siedem funtów, osiemnaście szylingów, osiem pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £3,100.2 /słownie trzy tysiące sto funtów, dwa szylingi/ 108 pesetów hiszpańskich i 1 dolar kanadyjski.

Poszukiwania

"*Afrykańscy Junacy*" /członkowie W.C.K.S. "Junak" w Drohobyczu/,

Buszyński Władysław
Chaberski Feliks
Denasiewicz Bolesław
Fujarski Antoni
Gerula Stanisław
Janicki Eugeniusz
Janicki Zbigniew
Kasina Władysław
Kondracki Jerzy
Kozak Mieczysław
Kowalik Adam inż.
Krasoń Tadeusz
Lachowicz Ignacy
Mamak Stanisław
Mazur Stanisław
Dr. Młotek Mieczysław
Przystajko Roman
Raba Mieczysław
Rogoziński Ernest
Różycki Wilhelm
Schwidernoch Karol
Somchianc Melik
Szczerba Władysław
Szewczyk Władysław
Żółkiewicz Edward

przesyłają "Junakom" i drohobyczanom w Anglii a m.:

Biernacikowi Jerzemu
Chciukowi Tadeuszowi
Filarowi Zdzisławowi
Garbacikowi Stanisławowi
Garbiakowi Władysławowi
Glazerowi Mieczysławowi
Huczyńskiemu Michałowi
Koliniczowi Bolesławowi
Krzawieckiemu Stanisławowi
Łobosowi Janowi
Łobosowi Józefowi
Mangoldowi Marianowi
Miszczyszynowi Henrykowi
Rutkowiczowi Henrykowi
Dr. Sklenarzowi Leopoldowi
Skolskiemu Zbigniewowi
Stańczykowi Adamowi
Stockiemu Michałowi
Szotkowskiemu Janowi
Twardemu Zbigniewowi
Wiśniewskiemu Marcelemu

serdeczne "junackie" pozdrowienia i proszą o wiadomości na adres: Dr. Młotek Mieczysław /50 Polish Forces, Egypt, Cairo, Middle East./

Również "wojenne pokolenie" Junaków węgiersko-palestyńsko-afrykańskie:

Borowski Antoni
Gałecki Antoni
Hemerling Jan
Jeżewski Wacław
Kidacki Henryk
Mykietowicz Edward
Styczyński Zdzisław
Tobiasz Bronisław
Wiśniewski Czesław

dołącza swe pozdrowienia.

Dziesiąta rocznica pierwszej audycji radiowej "Lwowskiej Fali" przypada w dniu 23 października r.b. W dniu tym odbędzie się premiera programu nr. 6. Czołówki Teatralnej W.P. "Lwowska Fala."

Towarzystwo Szkocko - Polskie w Edynburgu otworzyło z dniem 24 lipca nowy, dodatkowy lokal, składający się z 3 pokoi, przy 11, Castle Street /bocznica Princess Street/ i zaprasza wszystkich członków i sympatyków. Lokal otwarty jest we wszystkie dnie tygodnia w godzinach 14-22.

NOWY ADRES MINISTERSTWA PRZEM. HANDLU I ŻEGLUGI

Podaje się do wiadomości, że z dniem 27 lipca b.r. MINISTERSTWO PRZEMYSŁU, HANDLU I ŻEGLUGI mieści się w lokalu przy 43, Lowndes Square /na 3-cim i 5-tym piętrze/ w pobliżu Knightsbridge Station. Tel.: SLOane 9844 do 9848 /5 linii/.

W tym samym lokalu mieści się zatym także DZIAŁ SPRAW MORSKICH wraz z INSPEKTORATEM ZAŁOGOWYM, które dotychczas urzędowały w Morley House, 320, Regent Street, London, W.1.

SPIS RZECZY

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY M.S.WOJSK.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wyłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.